ROCZNIK XI. Luty 1907. Nr. 2.

Wiadomości Salezjańskie

Organ Związku Pomocników Salezjańskich.

* Turyn – Via Cottolengo, 32 *

TREŚĆ: Str.

Z dzisiejszych błędów społecznych 33
Religja w szkołach 35
Komunja św. chłopców 36
Pierwszy wychowanek (wiersz) 37
Nowy cios. — Pożar w Londynie 38
Nie przeszkadzaj! 39
Z Misji naszego Rodaka w patagońskich Pampasach 40
Z naszego skarbca *czyli odpusty*, jakie Pomocnicy Salezjańscy zyskać mogą w miesiącu lutym i marcu 42
Misjonarze wygnańcy (c. d.) 43
Misje salezjańskie: Patagonja Południowa *(List br. Piotra Rossiego)* 44
— Matto Grosso (Brazylja): *Wzruszająca prośba.* — *Wycieczka misyjna na północ od Cuyabá* . . 45
Wiadomości potoczne: *Od Wydawnictwa, Oświęcim, Daszawa, Poznań, Agua de Dios, Coyoacan* . . 48
Nabożeństwo do Wspomożycielki Wiernych . . . 52
Rozmaitości: *Do chłopca, który nie usiedzi na miejscu* 56
Kącik pedagoga. — *Z wychowania woli* 57
Żywot X. biskupa Alojzego Lasagni 58
Nekrolog: *Zmarli Pomocnicy* 59

Z dzisiejszych błędów społecznych.

Religję uznają socjaliści za rzecz prywatną każdego człowieka i wskutek tego socjalizm w sprawę wyznania na pozór się nie miesza. Żądają oni atoli, ażeby państwo i szkoła były bezwyznaniowe, a kto chce wierzyć lub nie wierzyć, będzie sam o tej sprawie decydował. Dalej ta bezwyznaniowość państwa i szkoły ma się praktycznie przejawiać w ten sposób, że w zakładach państwowych nauka religji i funkcje religijne nie mają być wykonywane. Wynika z tego, że chociaż socjalizm twierdzi, że z religją nie staje do walki i że w samej swej istocie nie ma nic takiego, coby było sprzeczne z jakiemkolwiek wyznaniem, — w rzeczywistości walczy namiętnie z religją w swych programach, zebraniach i prasie.

Socjalizm potrzebuje do swego rozwoju nienawiści jednych do drugich, bo tylko na gruncie niezadowolenia szerzyć się może. Otóż religja katolicka sprzeciwia się takiemu uczuciu nienawiści jednego człowieka do drugiego i dlatego, o ileby ludzie byli religijni, o tyle nie żywiliby tego uczucia, popychającego do najgwałtowniejszych walk jednych przeciw drugim, jakich właśnie socjaliści się domagają. Dlategoto rozpoczął socjalizm walkę z religją.

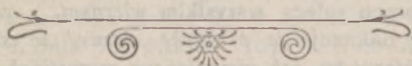
Gdyby żądania przywódców socjalizmu zwyciężyły na kongresach, toby socjalizm wprost przeciw religji się oświadczył i rzeczywiście tego rodzaju wnioski pojawiły się już na kongresach. Ale do socjalizmu należą także ludzie, którzy jeszcze nie zupełnie zerwali z religją, a na kongresach odrzucili żądania najwięcej z religją sprzeczne — i dlatego w rezultacie wybrano zdanie pośrednie i powiedziano, że religja jest rzeczą prywatną. W ten sposób chciano zadowolić i tych, którzy nie chcą ze wszystkiem porzucić religji, bo im powiedziano: to jest waszą rzeczą, czy chcecie wykonywać praktyki religijne lub nie; — zadowolono zaś ateistów, gdyż oni zrozumieli dobrze, że ogłoszenie religji za rzecz prywatną w gruncie rzeczy musi prowadzić do walki. Oczywiście tamtych pierwszych wprowadzono w błąd, bo w rzeczywistości socjalizm wszędzie, gdzie doszedł do pewnej politycznej siły, zwalcza namiętnie wiarę i religję.

Co bowiem znaczy: religja jest rzeczą prywatną? — We Francji rząd dzisiejszy opiera się w znacznej części na socjalistach, którzy stanowią najsilniejszą nie liczebnie, lecz pod względem energji, część partji rządowej. Ten rząd prowadzi walkę z katolicyzmem, tłumacząc ją interesem państwowym; wypędza zakony i zamyka szkoły prowadzone przez księży, bo powiada, że to jest szkodliwe dla państwa; socjaliści zaś stoją na boku. Wniesiono tam jednak przez deputowanego de Pressensé projekt ustawy co do urządzenia stosunku kościoła do państwa i to już przez socjalistów. Projekt ten wskazuje wyraźnie, jaki jest stosunek socjalizmu do chrześcijaństwa. Między innemi zawiera on także przepisy odnoszące się do używania wszystkich budynków przeznaczonych dla kultu, t. j. kościołów, i tak powiada: kościół jest własnością gminy, która ma prawo rozporządzać nim dowolnie. Za pewnem wynagrodzeniem będzie ten kościół oddawała w pewnych godzinach na odprawianie nabożeństw, w innych będzie go wydzierżawiała na inne cele, jak n. p. zgromadzenia polityczne, zabawy, przedstawienia i t. p. Ludzie prywatni, którzy chcą się pomodlić, niech się zwrócą do państwa, czy gminy, o wypożyczenie na ten cel kościoła; inni, którzy zechcą tego lokalu użyć na inny cel prywatny, n. p. na bal albo na przedstawienie, za stosownem wynagrodzeniem dostaną go również. — W ten oto sposób rzeczywiście określono religję jako rzecz prywatną. Kościół nie ma tu żadnego charakteru wyższego, jest zwykłym sobie budynkiem, jak każdy inny. Takie jest pojęcie religji jako rzeczy prywatnej. Ponieważ tego rodzaju pojęcie nie zgadza się z naszem, z naszą wiarą i przekonaniem, widzimy, iż zasada: religja jest rzeczą prywatną, w gruncie rzeczy **prowadzi do obalenia całej religji.**

Przytem postawienie tak doniosłej sprawy, jak sprawa wiary, jako rzeczy prywatnej, **jest sprzeczne zupełnie z naszą naturą.** Nikt nam nie mówił, że rzeczą prywatną jest narodowość, przywiązanie do dawnych tradycyj lub inne jakieś wielkie uczucie. Gdyby ktoś kraju swego nie kochał, powiedzielibyśmy, że jest jego wrogiem, a gdyby on na ten zarzut odpowiedział, że to jest rzeczą prywatną, ogłosilibyśmy go za zdrajcę. Nikomu nie pozwalamy stać na takiem

stanowisku i takim człowiekiem gardzimy. A przecież równie wielkiem, owszem większem uczuciem niż narodowość, jest religja. I jeżeli nie możemy stosować miary rzeczy prywatnej z punktu widzenia narodowego, to tem bardziej nie możemy tego czynić z punktu widzenia religijnego.

Postawienie takiej zasady obala zupełnie wyżynę, na jakiej pozostaje wszelkie poczucie religijne, sprowadza je do rzędu zwykłego aktu życia codziennego, a nie stawia go jako wielkiej idei, która ma kierować całem naszem postępowaniem. Zasada przeto, że wiara jest rzeczą prywatną, ani ze stanowiska teorji, ani w praktyce przyjętą być nie może.



Religja w szkołach. *)

Ludzkość przeznaczona jest do celu nadprzyrodzonego. Ku temu celowi należy skierować umysł człowieka od najwcześniejszej jego młodości, a zadanie to mają wspólnie spełniać Dom, Kościół i Szkoła. Szkoła więc ma dać młodzieży taką wiedzę i wprawę, iżby jej wychowańcy nie tylko wykonać umieli obowiązki obywatelskie w doczesnem życiu, lecz nadto przygotowali się do osiągnięcia owego przeznaczenia, które się ziści poza granicami ziemskiej ojczyzny. Dlatego i świeckie ustawodawstwo do zadań szkoły zaliczyło wychowanie moralno-religijne, a religję umieściło na czele przedmiotów nauki, przez co jawnie stwierdziło jej ważność i wielkie znaczenie w wychowaniu młodzieży. Na tej zasadzie opiera się dzisiejsza organizacja szkoły.

Niejednokrotnie wykazywaliśmy niedostatki dzisiejszego ustawodawstwa szkolnego i staraliśmy się o ich usunięcie. W ostatnich czasach wstrzymaliśmy się od tych zabiegów, bośmy nie chcieli w niespokojnych czasach powiększać jeszcze bardziej wzburzenia umysłów. Tem więcej tedy nas dziwi, że zmianę ustaw szkolnych z innej strony się podejmuje i to w tym celu, aby pogorszyć jeszcze wychowanie naszej młodzieży. Chcą naukę religji i praktyki religijne usunąć ze szkoły, a naukę religji zastąpić bezbarwną i jałową nauką etyki. Znajdują się fałszywi bracia, którzy, jak Apostoł powiada, wkradli się, aby wyszpiegowali wolność naszą, którą mamy w Jezusie Chrystusie i w niewolę nas podbili. Chcą szkołę w ten sposób wyswobodzić, że zamierzają z niej Ducha Chrystusowego wyrzucić i taką szkołę nazywają *wolną szkołą*, wolną od nauczania religji, wolną od wszelkich praktyk religijnych. Przeciw tym zakusom podnosimy głos!

Dotychczas szkoła posiada cechę religijną. Religji udziela się w szkole a ustawa naukę tę zabezpiecza; razem z nauką religji są połączone praktyki religijne, jak: modlitwa przed nauką, po nauce, wspólne nabożeństwa, wspólne uczęszczanie do Sakramentów św. Można więc powiedzieć: Bóg jeszcze jest w szkołach.

Odtąd chcą, żeby było inaczej. Naukę religji zamierza się na razie tolerować w szkole, jak tego ustawa wymaga, ale wszystkie religijne znaki i symbole mają być ze szkoły wyrzucone. Dzieciom nie będzie wolno spoglądać na obraz Zbawiciela; nic nie ma się znajdować w szkole, coby urabiało i podtrzymywało w młodzieży ducha religijnego. Lecz nietylko z oczu, także z serc dzieci Bóg ma ustąpić. Ćwiczeń religijnych nie ma się odbywać w szkole i z obowiązku szkolnego: praktyki te mają być zostawione uznaniu rodziców. Wszelkie zachęcanie i przyzwyczajanie w szkole młodzieży do życia religijnego ma być wzbronione, — słowem, hasłem tych wrogich usiłowań na polu szkolnictwa jest: Precz z Bogiem!

Nie chcemy tu rozbierać pytania, skąd ono złe płynie i dokąd właściwie zdąża, musimy jednak choć pobieżnie zaznaczyć, że ruch ten uchybia głównej a powszechnie uznanej za-

(*) Te piękne słowa przepisujemy z listu, który Najprzewielebniejsi arcybiskupi i biskupi Austrji zgromadzeni w Wiedniu w październiku z. r. wysłali do wszystkich wiernych swoich dyecezji.

sadzie wychowania szkolnego. Szkoła po to istnieje, aby za pomocą nauki, w zgodną całość ujętej, przysposobić młodzież do spełnienia wszystkich zadań, z jakich będzie jej należało wywiązać się sumiennie w życiu późniejszem. To też w świeckich przedmiotach nauczyciele wykład łączą z praktycznemi ćwiczeniami: ustną naukę nawiązują z życiem. A któryż dział nauki ma równie potężny i bezpośredni wpływ na życie, jak nauka religji? Dlaczego więc z tej właśnie nauki mają być wykluczone ćwiczenia praktyczne? Widzicie, jak nienawiść do religji przeszkadza logicznemu myśleniu i działaniu. Posługuje się ona według upodobania dwojaką miarą. Czyż można porozumieć się z przeciwnikami tego pokroju? Nie, tu jedynie jest na miejscu słuszny głos oburzenia.

Ponieważ z obowiązku biskupi pilnować winni podstaw, na których zbawienie rodzaju ludzkiego istotnie i rzeczywiście spoczywa, przeto musimy zwalczać wszystkie usiłowania, które jawnie czy skrycie mają na celu uszkodzenie tych podstaw. Z przykrością spostrzegamy niektóre wady w teraźniejszem ustawodawstwie szkolnem, ale co ono dobrego zawiera, tego nie pozwolimy odebrać sobie i ludowi. Nie mamy nic przeciw temu, iżby rozszerzono zakres świeckich wiadomości, podawanych w szkole, lecz wymagamy, żeby szkoła dostarczyła dziatwie wiedzy religijnej w wystarczającej mierze i troskliwą opieką otoczyła nieodłączne od nauki religji ćwiczenia religijne.

Dlatego możemy z ręką na sercu powiedzieć, że sprzeciwiając się ograniczaniu wychowania religijnego w szkole, walczymy nie tylko za siebie, ale i za Was, a do walki pobudza nas nie chęć panowania, lecz miłość ku Wam i dzieciom Waszym, które pragniemy uchronić od zdziczenia i niewiadomości tego, co człowieka w życiu darzy pociechą, a przy śmierci uzbraja w męstwo i na duchu krzepi. Walczymy za ład i porządek w państwie, który należy nam podtrzymywać tem gorliwiej, im bardziej jest dzisiaj zachwiany; walczymy o zachowanie fundamentów, na których stoi dobro narodów, a z fundamentów tych najtrwalszym jest religja i wiara w Boga.

Komunja św. chłopców.

O Komunję św. częstą i codzienną toczyły się pomiędzy teologami katolickimi odwieczne spory, które pomimo wyraźnego oświadczenia Soboru trydenckiego (sesja 22. roz. 6): *Święty Sobór pragnie, aby na każdej Mszy św. obecni nie tylko duchownie komunikowali, ale również i przyjmowali Komunję św. sakramentalną*, pomimo nauki i przykładów wielu świętych, pomimo deklaracji Stolicy Apostolskiej broniących zwyczaju częstego przystępowania do Stołu Pańskiego, przetrwały aż do naszych czasów. Daleko idące obostrzenia rygorystów krzywdziły najbardziej młodzież, której w niektórych krajach częstej Komunji św. wprost wzbraniano.

Aby położyć kres sporom i wątpliwościom a spowiednikom i wiernym podać stałe prawidła, św. Kongregacja Soboru dnia 20. grudnia 1905 r. po gruntownem zbadaniu sprawy wydała zatwierdzony w całości przez Ojca św. Piusa X dekret *De quotidiana SS. Eucharistiae sumptione* (1), w którym **częstą** i **codzienną** Komunję św. gorąco zaleca **wszystkim wiernym**, a w artykule 7 nakazuje *tę praktykę szerzyć w seminarjach kleryków, jak niemniej we wszystkich chrześcijańskich zakładach wychowawczych*.

Dekret ten miał dla wielu krajów znaczenie tem większe, że odrazu podkopał przestarzałe i uporczywie się tam utrzymujące zwyczaje jansenistyczne, ubierane w płaszczyk gorliwości a bronione kłótliwymi wywodami o dyspozycjach potrzebnych do częstej i codziennej Komunji św. Odbiciem tego starcia się postanowień dekretu z pokutującymi nawyknieniami dawnej daty są wątpliwości zgłoszone do Ojca św. Piusa X. Na szczególniejszą uwagę zasługuje kwestja poruszona przez pewnego zakonnika z Belgji. Wobec kolizji przyjętego we wielu dyecezjach zwyczaju przypuszczania dzieci do drugiej Komunji św. dopiero w rok po pierwszej, z pierwszym artykułem dekretu brzmiącym: ... *nikomu nie można zabronić przystępowania do Stołu Pańskiego, kto tylko to czyni w stanie łaski, z dobrem i pobożnem usposobieniem* — wystosował do Ojca św. zapytanie: *czy codzienne przyjmowanie Komunji św. w zakładach katolickich zalecać się powinno także chłopcom bez żadnej różnicy po pierwszej Komunji świętej (quotidiana Eucharistiae sumptio in catholicis ephebeis suaderi ne debet etiam pueris quibuscumque post susceptam primam Communionem?)*

(1) O codziennej Komunji św. Zobacz ***Wiadomości Salezjańskie***, r. 1906, nr. 6, str. 114-117.

Z polecenia Papieża św. Kongregacja Soboru po omówieniu kwestji na generalnem posiedzeniu dnia 15. września z. r. orzekła, że: *Według pierwszego artykułu dekretu zaleca się częstą Komunję św. także chłopcom, którym po przypuszczeniu do pierwszej Komunji św. według wskazówek katechizmu rzymskiego rozdz. 4. l. 63, nie można wzbraniać częstego jej przyjmowania, lecz raczej należy ich do tego zachęcać; zwyczaj przeciwny gdzieniegdzie istniejący zostaje potępiony (Sacrae Communionis frequentiam commendari iuxta articulum primum decreti etiam pueris, qui ad sacram mensam iuxta normas in Catechismo Romano, cap. 4, n. 63, semel admissi ab eius frequenti participatione prohiberi non debent sed potius eos ad id hortari; reprobata praxi contraria alicubi vigente).*

Więc odrzucony został zwyczaj wstrzymywania dzieci przez cały rok od Stołu Pańskiego po pierwszej Komunji świętej. Zupełny tryumf święci myśl księdza Bosko, który przed 60 laty wypowiedział otwartą wojnę *przeciwnemu zwyczajowi* i pomimo skarg i niechęci, na częstej, codziennej Komunji św. oparł swój system wychowawczy. A jak powyższem *responsum* św. Kongregacja w zupełności zatwierdziła postępowanie naszego Założyciela, tak całkiem upadły subtelności, któremi go zwalczano, bo w artykule 9tym dekretu z dnia 20. grudnia 1905 r. „*św Kongregacja postanawia, aby po ogłoszeniu tego dekretu wszyscy pisarze kościelni zaniechali wszelkich kłótliwych dysput co do dyspozycji, potrzebnych do częstej i codziennej Komunji świętej.*"



Pierwszy wychowanek. (1)

Już noc zapadła. Wąziuchną ulicą,
Tam gdzie ciemnota z ubóstwem się brata,
Idzie ksiądz Bosko ze łzawą źrenicą:
Ogromna troska serce mu przygniata.

Spojrzał ku niebu. Ponad dachów złomy
Uniósł się księżyc i świecąc dokoła,
Przez małe okna wgląda w ciemne domy
Piękny, niby w bieli postać Anioła;

Lekko się suwa po cichych ścieżynach,
Choć płoche gwiazdy, mrugnąwszy na siebie,
To w drogę mu wchodzą w zbitych drużynach,
To w tany go proszą na gładkiem niebie.

Spojrzał i westchnął: „Tam uśmiech uroków
Po krasnych licach przyrody się snuje;
Na ziemi gęsta osiada mgła mroków,
Pioruny światu i burzę zwiastuje.

„Żal mi młodzieży, żal dziatwy co w nędzy
Te brudne wypełnia zaułki grodu,
Gdzie każdy chodzi w wytartej siermiędze
A często płacze i przymiera z głodu.

„Ach! gdy tych biednych, opuszczonych dziatek
Rój cały mojej uczepił się ręki,
Gdym z ust, co długi skrzywił niedostatek,
Usłyszał skargi na biedę i męki:

„O nagich członkach, o piekącym głodzie,
Jak bez przytułku żyją od tygodni,
Jak ich pan ciemięży a chciwość bodzie,
Towarzysz i rozpacz pchają do zbrodni,

„Wtenczas, mój Boże, tych dzieci szczebioty
Jak tysiąc mieczów zraniły mi duszę;
A na te żale, skargi i kłopoty
Rady nie miały, prócz serca katuszy.

„A choć zraniony tysiąców cierpieniem,
Przecieżem łzy tłumił i serca jęki,
By choć słóweczkiem i miłem wejrzeniem
Myśl dzieci odwieść na chwilkę od męki..... "

Tak szedł i stroskany żalił się Bogu
Na dolę dzieci trujących swe lata,
Aż wreszcie stanął przy domowym progu,
Gdzie nań czekała matka Małgorzata.

Ktoś z nią stoi... Rysy widzi prostacze,
Widzi zamglone boleścią wejrzenie,
Postać złamaną i strzępy tułacze
A usta ścięte przez długie cierpienie.

Poznał... i ogniem zapalił się świętym.
Chodź! dziecko moje, sam z głodu przymieram,
Ale stąd biedny nie bywa wypchniętym:
Tobie dziś serce i dom swój otwieram.

Już im mamusia swój stół zastawiła,
Czem była bogata, to dała rada;
Ujęła chłopca, w czoło pogładziła
I z synem przy głodnym sierocie siada.

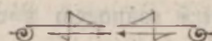
Wreszcie schowawszy jedzenia ostatki,
Sama na nocny spoczynek go wiedzie;
On złożył całusy na rękach matki
I we śnie o swojej zapomniał biedzie.

A kapłan stoi jak duch przy pościeli,
Chciwie w uśpione wpatrując się dziecię:
„Niech snu twego biali strzegą Anieli,
Niech wszystkich strzegą maluczkich na świecie!

„Bóg dziś przyszłości odsłania mi cienie:
Widzę podwórza, w nich chłopiąt tysiące,
Domy, kaplice, wyniosłe świątynie,
Kapłanów i braci hufce walczące.

„Choćby i wszyscy w potyczce paść mieli,
Wszyscy za jedno poświęcą się dziecię...
Niech ich zawsze biali strzegą Anieli,
Niech wszystkich strzegą młodzieńców na świecie!

„Spij..." Lampka gaśnie, szept modlitw zamiera:
Już cisza nocna całym domem włada;
Przez okna księżyc ciekawy spoziera,
Sny odgaduje i sny z serc wykrada.



(1) Wiersz, deklamowany na posiedzeniu kleryków w Daszawie, opowiada zdarzenie prawdziwe, które na Waldocco w Turynie rozegrało się w maju 1847 r.

Nowy cios - Pożar w Londynie.



Napewno Szanowni Czytelnicy mają jeszcze w świeżej pamięci długi szereg klęsk materjalnych, któremi w r. 1906 dotknięte zostało Zgromadzenie Salezjańskie. Pomijając drobniejsze wypadki, przypominamy, że podczas pamiętnych trzęsień ziemi w Ameryce w kwietniu i sierpniu zeszłego roku uległy zupełnemu zniszczeniu kościół i dom parafjalny w **San Francisko**, runęły zakłady w **Melipilla** i **Macul**, ciężko uszkodzone zostały kościoły i zakłady w **Santiago, Talca** i t. d.

U samego zaś schyłku ubiegłego roku wydarzył się fakt, który smutnie dopełnia cykl nieszczęść powyższego obrazu. Przy kościele Najśł. Serca Jezusowego na Troll-Street-Battersea w **Londynie** stał wielki gmach, w którym mieściła się kwitnąca szkoła parafjalna. Na parterze znajdowała się szkoła męska, w której uczyli nasi współbracia, a szkołą dla dziewcząt na piętrze kierowało przywołane do pomocy Zgromadzenie żeńskie. Do 500 dochodziła liczba uczni i uczennic. Pomiędzy nimi był znaczny procent anglikanów. Nauki udzielano dobrze i dlatego szkoła zaliczona była do najlepszych w Londynie. Zależało nam więc na tem, aby ją utrzymać w kwitnącym stanie, choćby kosztem poświęceń i wielkich nakładów. Nie mogliśmy się atoli podjąć zaraz przeprowadzenia ulepszeń, które miejska komisja szkolna uznała za konieczne, bo wskazane przeróbki wymagały bardzo wielkiej gotówki, a o jakiejkolwiek kapitalizacji nie mogło być mowy przy nadzwyczajnej drożyznie i wysokich wydatkach szkolnych. Tymczasem konieczność zmusiła nas do tego, od czego wstrzymywały nas warunki finansowe.

Dnia 11. grudnia wybuchł w szkole pożar na piętrze, gdzie od rury pieca zapalił się drewniany sufit. Spostrzeżono wcześnie niebezpieczeństwo i ugaszono ogień. W ciągu jednego dnia szkody zostały naprawione, a przerwa w nauce trwała zaledwie kilka godzin.

Wypadek ten nie przestał jeszcze być głównym przedmiotem naszych myśli i rozmów, gdy wydarzył się drugi, który przybrał rozmiary kolosalnej katastrofy. W nocy 13. grudnia straż policyjna zauważyła około godziny trzeciej, że nasz cichy i próżny gmach szkolny stoi w płomieniach. Na alarmujące sygnały pospieszyli na miejsce nasi współbracia i straż pożarna. Niestety było po niewczasie. Pożar ogarnął już był całe drewniane wnętrze domu, który palił się, jak stóg słomy, jednym płomieniem strzelającym wysoko ku niebu. Wkrótce na miejscu szkoły sterczały tylko cztery odymione mury zewnętrzne. Ogień przerzucił się nawet na dach kościoła parafjalnego, ale na szczęście został tam natychmiast ugaszony. Przyczyny pożaru dotychczas nie wyjaśniono.

Oto goły, straszny fakt. Następstwa jego są przerażające. Komisja miejska Londynu nadesłała już projekt, którego koniecznie należy się trzymać przy odbudowaniu szkoły, a dołączony kosztorys opiewa na 4.000 funtów szterlingów, czyli 75.000 koron!

Z budową długo czekać nie można, bo dziatwa katolicka zmuszona będzie uczęszczać do zakładów protestanckich, jeżeli nowy gmach szkolny nie powstanie w oznaczonym czasie.

Najprzewielebniejszy nasz ksiądz Jenerał dotknięty boleśnie tylu klęskami, prosi Przezacnych Czytelników o ponowne, uważne czytanie jego listu z dnia 1. stycznia (zob. Wiadomości Salezjańskie, r. 1907, nr. 1, str. 2) i zaleca im wspieranie biednych zakładów, walczących nie tylko ze zgubnymi wpływami świata i nowoczesnych teorji, ale także z różnemi klęskami elementarnemi i rosnącym z dnia na dzień niedoborem.

Nie przeszkadzaj!

Bóg, jako Pan nieba i ziemi, ma niezaprzeczone prawo wybierać i powoływać ludzi do służby swojej w stanie kapłańskim i zakonnym, stosownie do niezbadanych swoich celów i wyroków. Nieraz czyni to w sposób nadzwyczajny, drogą objawienia lub za pomocą różnych znaków cudownych (Abraham, Aron, Samuel, Elizeusz... Paweł i Maciej Apostołowie); najczęściej jednakże wzywa do swej służby przez natchnienie i głos wewnętrzny, przez ciągły, trwały pociąg do życia kapłańskiego i zakonnego, przez zamiłowanie cnót miłości bliźniego, czystości, ubóstwa, gorliwości o chwałę Bożą, posłuszeństwa i t. p. Kiedy więc P. Bóg w podobny sposób kogoś powołuje, to taki wybraniec obowiązany jest iść za Jego głosem, a tego nie mają prawa wzbraniać mu ani rodzice, ani krewni, ani żadna zwierzchność, ani nikt zgoła na świecie. Na rodzicach, którzy tak prostej i jasnej dla każdego chrześcijanina prawdy nie znają lub znać nie chcą, sprawdzają się słowa Chrystusa Pana, że w rzeczach tyczących się zbawienia duszy, największymi wrogami są właśni domownicy: *et inimici hominis domestici eius.*

Jak nierozumnie, jak po tyrańsku a nawet bezbożnie sobie postępują, gdy dziecku wzbraniają pójść za najgorętszem i najświętszem pragnieniem duszy! Kościół przez nich traci nieraz najlepsze siły właśnie dziś, kiedy zewsząd jest zaczepiany i na wszystkie strony musi się wytężać. O jednego kapłana mniej lub więcej, znaczy o kilka set, o kilka tysięcy dusz mniej lub więcej albo w niebie, albo w piekle. Ileż to dziatwy, iluż młodzieńców i dorosłych, iluż chorych i konających woła nieraz z rozpaczą o pomoc duchowną, a mieć jej nie mogą, bo jakaś fałszywa miłość rodzicielska, jakiś wzgląd ludzki, jakiś interes pozbawił ich Anioła-zbawcy! I może pójdą na potępienie... I tacy rodzice nie zadrżą o zbawienie własnej duszy?



Misja salezjańska na wyspie Dawson (Chile).

A los tych dzieci wydartych Bogu? Najczęściej marnieją i nie mogą znaleźć sobie miejsca. Są jak kość wyrwana ze stawu, jak ryba wyciągnięta z wody, jak podróżny wlokący się po błędnych ścieżkach. W niewłaściwym i źle obranym czy narzuconym stanie, zamiast pokoju i szczęścia, znajdują rozterkę, udręczenie, zawody. Iluż z nich po smutnych kolejach, około 30. lub 40. roku życia chętnie cofnęłoby się wstecz, aby na nowo życie rozpocząć w stanie, który jest warunkiem ich zadowolenia! Niestety! sposobność minęła raz na zawsze. Wola rodzicielska skazała ich na próżny żal i narzekania.

Co gorsza! Te błędne gwiazdy najczęściej na zawsze oddalają się od Boga, religji i moralności. Żyjąc w świecie, którego powinni byli unikać, lgną całą duszą do jego zasad i toną

w marnych rozkoszach. Mieli ratować wiarę i dobre obyczaje, a sami stali się ateuszami i zwolennikami tak zepsucia, jak najskrajniejszych prądów wywrotowych.

Czyja tu wina? Czułych rodziców!

Niech się nad tem zastanowi, kto w tym względzie ma sobie coś do wyrzucenia.



Z MISJI NASZEGO RODAKA

w Patagońskich Pampasach.

(Sprawozdanie Ks. Stanisława Cynalewskiego). (*)

Przybycie do Pampy i pierwsza wycieczka.

Po kilkoletnim pobycie w Bahia Blanca, po teoretycznem i praktycznem zapoznaniu się ze sposobem odbywania wycieczek misyjnych w towarzystwie wytrawnego, starszego już misjonarza, otrzymałem od Przełożonych rozporządzenie samodzielnego działania na polu pracy misyjnej. W udziale dostała mi się Pampa Central (= *Step centralny*), sam środek nieprzejrzanej puszczy, na której wspomnienie dreszczem przejmowało się podówczas serce każdego. Rozmaite były przyczyny odrazy, jaką odczuwano do tych pystych okolic: wspomnienia napadów całych hord plemion indyjskich na pograniczne osady przed kilku zaledwie laty; brak dróg, osad, siedzib, ludzi cywilizowanych; brak wody — a stąd niesłychana trudność w odbywaniu podróży.

Odwiecznym leżące odłogiem i mało zaludnione okolice Bahia Blanca przedstawiały niejako obraz i dawały mi pojęcie o prawdziwych stepach w głębi kraju. Początkowe moje wycieczki doświadczalne czyli próby, trwały zazwyczaj parę dni. Obawę, aby się nie zabłąkać na tych bezbrzeżnych pustkowiach, usuwała myśl, że w kilkudziesięciogodzinnem oddaleniu znajdowali się moi współbracia, którzy z łatwością mogli odgadnąć miejsce mego pobytu i przyjść mi w danym razie z pomocą. Wycieczka atoli, o której teraz wspominam, nie miała już za cel miejscowości oddalonej tylko o kilka dni, ale oznaczoną była czasem nieograniczonym: miałem jednem słowem udać się w głąb stepów i zamieszkać tam (na razie) w towarzystwie dodanego mi braciszka; w rzeczywistości jednak spędziłem tam całych lat dziesięć.

Punktem mojego oparcia miała być miejscowość *Toay*, składająca się wtedy z kilku nędznych lepianek zamieszkanych częścią przez Indjan, częścią zaś przez Europejczyków żądnych zdobycia fortuny w tych dziewiczych kniejach. Wiadomo, że każde przysłowie ma w sobie coś prawdy, to też zaznaczyć muszę, że do tych europejskich śmiałków zastosować można owo « *audaces fortuna juvat* ». Korzystali oni z ówczesnej łatwości nabycia ziemi w Pampasach za bezcen i dzisiaj niektórzy z nich posiadają po 50 lub 100 tysięcy hektarów, a jeden z moich znajomych przyznał mi się, że w skromnych swoich wymaganiach wybrał sobie działek obejmujący 200.000 hektarów.

Dziesięcioletni przeciąg czasu zmienił zupełnie stosunki pod tym względem w owej okolicy i dzisiaj również wspomniana miejscowość wycisnęła na sobie piętno postępu i cywilizacji; zdaje się nawet, że została upatrzoną na przyszłą stolicę utworzyć się mającej prowincji w Pampasach. Przyczyniło się do tego znacznie pomiędzy innemi i to, że na podstawie dokonanych doświadczeń okazało się całkiem bezpodstawnem uprzedzenie o nieurodzajności owej ziemi stepowej, — o czem później.

Z przybyciem do *Toay*, myślą moją przewodnią było urządzenie wycieczki w głąb stepu w kierunku południowym. Wszelako już to z braku odpowiednich zasobów do dłuższych podróży, już to z powodu nieznajomości miejsca, początkowo ograniczałem się do wycieczek kilko lub kilkunastodniowych. Tym sposobem zapoznawałem się zwolna z życiem i odbywaniem podróży w pampasowych stepach. Niemal cały jeden rok upłynął mi na owem zapuszczaniu się w coraz to dalsze przestrzenie.

(*) Zob. nr. 1. b. r. *Wiadomości Salezjańskich*, str. 8 i nast.

I pomimo że do owego czasu nie odbyłem jeszcze żadnej takiej podróży, która wymaga całego wytężenia sił i w której często gęsto człowiek wystawiony jest na straszne pragnienie, głód, żar słoneczny itp., to jednak czułem, że mój ustrój fizyczny ustępował pod naciskiem nieprawidłowego sposobu życia i mimo wzmagających się chęci ducha i woli do pracy, ciało ulegało pewnej niekorzystnej mojemu zadaniu metamorfozie; czułem się poniekąd mniej silnym, mniej czerstwym, w pewnym nawet stopniu mimowoli ociężałym, przygnębionym. Przypisywałem to nagłej zmianie trybu życia a mianowicie wyłącznemu odżywianiu się mięsem — głównie na wycieczkach misyjnych, gdzie wspólnie z Indjanami trzeba było zasiadać do ogniska zastawionego przeważnie końskiem mięsem. Indjanie bowiem ponad wszystkie mięsiwa przenoszą słodkawą końską pieczeń.

Konieczność nagliła mnie do zdecydowania się na odbycie dłuższej, kilkotygodniowej podróży. Niełatwa to była sprawa, gdyż nie posiadałem jeszcze środków potrzebnych do zamienienia w czyn mego postanowienia. Oprócz dobrych chęci, wszystkiego mi brakowało, nawet koni wprawnych do podróży w stepie. Doszły mnie tymczasem wieści, że w oddaleniu 230 legwów (*) znajdował się szczep Indjan złożony mniej więcej z sześćdziesięciu rodzin, oprócz znacznej liczby *gaučos* porozrzucanych w tymże kierunku i potrzebujących również opieki duchownej.

W skromnych rozmiarach, lecz o ile doświadczenie mnie już nauczyło, było wszystko ostatecznie gotowe do podróży; brakło jednakże rzeczy najważniejszej — koni. Tysiącami widziałem je hasające po stepie, ale w zupełnie dzikim stanie, dlatego nie odpowiadały memu wymaganiu: ja potrzebowałem koni łaskawych, ujeżdżonych, wytrzymałych, którym mógłbym niejako powierzyć swoje życie wśród stepowego morza. Nie chodziło tu bynajmniej o posiadanie jednego, dwu lub trzech koni, tyle ich bowiem brać z sobą oznaczałoby narazić się na pewne niebezpieczeństwo; potrzeba mi było co najmniej 15 do 20 koni. Przezorność ta z tego względu jest konieczną, ponieważ na dłuższych przestrzeniach stepu bez wody nierzadko się zdarza, iż nawet kilka koni ustaje zupełnie z pragnienia, często do tego stopnia, że koń taki dałby się raczej pociąć w kawałki, aniżeli miałby postąpić jeszcze kilka kroków dalej. Dobór oraz ilość koni stanowią podstawę podróży wśród stepów; puszczać się w drogę inaczej — byłoby wielką nieroztropnością. Niełatwą więc było dla mnie sprawą zaopatrzyć się na prędce w odpowiednie stadko koni. A że najlepszymi znawcami stepowych koni są Indjanie, przeto do nich (zamieszkałych w mojem sąsiedztwie) udałem się o pomoc i radę. I nie zawiodłem się. Pożyczono mi za pewnem wynagrodzeniem w sucharach, cukrze, ubraniach itp. nie tylko wypróbowane stadko koni, ale dodano mi także przewodnika w osobie ośmnastoletniego Indjanina.

Puściliśmy się w drogę. Chłopak, uświadomiony o kierunku mojej podróży, doskonale przewodniczył, dając tem dowody swego stepowego pochodzenia. Bez żadnych trudności wyjechaliśmy z lasu, jaki w kilkudziesięciokilometrowej szerokości ciągnie się od Bahia Blanca w kierunku północno-zachodnim aż pod same prawie Kordyliery. Siedziba moja pod nazwą *Toay* znajduje się właśnie śród pasma tego lasu, przed i poza którym rozciągają się stepy *Pampas* pokryte dość wyrosłą, lecz dziką twardą trawą. Pasące się trzody pożywają ją raczej z konieczności, niż z upodobania: innej bowiem paszy wyszukać sobie nie mogą.

Wydostawszy się z lasu, rzuciliśmy się niejako w objęcia stepu. Na pierwszym przystanku poinformowałem się dokładnie w jakim kierunku leży miejscowość, do której zdążaliśmy. Z kompasem w ręku, posuwając się w wskazanym mi kierunku, obserwowałem uważnie igłę magnesową, by każdej chwili móc się zorjentować w położeniu, szczególniej wśród nocy, gdyż dla zbytniego upału oszylującego pomiędzy 30 a 40 stopniami Celzjusza, właśnie w nocy najwygodniej było podróżować, z tą nawet korzyścią, że wśród nocy rozpalone ogniska Indjan lub *gauciów* zdradzały miejsce

(*) Legwa (=5 kilometrów), miara hiszpańska zastosowana w Ameryce Południowej.

ich pobytu i tem samem dawały mi sposobność łatwiejszego ich odnalezienia. Natomiast podczas dziennego upału, z powodu łamiących się promieni słońca na powierzchni stepu pokrytego wiecznie suchą trawą, trudno dostrzec przedmioty w większem oddaleniu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, jakie Pomocnicy Salezjańscy zyskać mogą w miesiącu lutym i marcu.

Pomocnicy Salezjańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencję Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącach lutym i marcu następujące odpusty;

A. — *Zupełne :*

1) W uroczystość Oczyszczenia Najśw. P. Marji (2. lutego).

2) W niedzielę palmową (24. marca).

3) W święto Zwiastowania Najśw. P. Marji (25. marca).

4) W uroczystość Wielkanocy (31. marca).

5) W dzień, w którym się wpiszą do Związku Pomocników.

6) Raz w miesiąc w dniu przez każdego dowolnie obranym.

7) » » w dniu, w którym odprawią t z. ćwiczenie dobrej śmierci.

8) W dniu, w którym się po raz pierwszy poświęcą Najśw. Sercu Jezusowemu.

9) Ilekroć przez ośm dni z rzędu odprawią rekollekcje.

10) W godzinę śmierci, jeśli wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św., lub co najmniej wzbudziwszy akt skruchy, ustnie lub przynajmniej sercem wezwą nabożnie Najśw. Imienia Jezus.

B. — *Odpusty stacyjne.*

Pomocnicy salezjańscy, zwiedzając jakikolwiek kościół lub kaplicę publiczną i modląc się tamże na intencję Ojca św., zyskać mogą:

1) W niedziele Sześćdziesiątnicę (3 lutego) i Pięćdziesiątnicę (10 lutego) *odpust 30 lat i tyluż kwadragen.*

2) W środę popielcową i w czwartą niedzielę Wielkiego Postu: *odpust 15 lat i tyluż kwadragen.*

3) W niedzielę Palmową: *odpust 25 lat i tyluż kwadragen.*

4) W Wielki Czwartek, wyspowiadawszy się i do Stołu Pańskiego przystąpiwszy: *odpust zupełny.*

5) W Wielki Piątek i Wielką Sobotę: *odpust 30 lat i tyluż kwadragen.*

6) We wszyskie inne dni Wielkiego Postu, tak powszednie jak świąteczne: *odpust 10 lat i tyluż kwadragen.*

7) W Wielkanoc, wyspowiadawszy się i przystąpiwszy do Komunji św.: *odpust zupełny.*

C. — *Odpusty Cząstkowe :*

a) Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

b) Ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

c) Ilekroć wzbudziwszy w sobie conajmniej serdeczny akt żalu, spełnią jaką praktykę nabożną lub jaki uczynek miłosierny: *odpust 300 dni.*

d) Ilekroć z sercem conajmniej skruszonem wymówią akt strzelisty: *Marjo, Wspomożenie Wiernych, módl się za nami: odpust 300 dni.*

Wszystkie powyższe odpusty, z wyjątkiem odpustu zupełnego w godzinę śmierci, można ofiarować za dusze w czyśću cierpiące.

D. — *Przywileje :*

a) Wszystkie Msze św., które jakikolwiek kapłan odprawi za zmarłych Pomocników, są zawsze i wszędzie uprzywilejowane.

b) Pomocnicy, którzy są kapłanami, mogą *w trzy dni* każdego tygodnia korzystać z indultu ołtarza uprzywilejowanego osobistego, jeżeli nie uzyskali jeszcze podobnego indultu na inny dzień tygodnia.

E. — *Indulty.*

a) Pomocnicy chorzy lub rekonwalescenci, którzy nie mogą wygodnie wychodzić z domu, dostępują wyżej podanych odpustów, jeżeli zamiast zwiedzenia kościoła zmówią pięć *Ojcze nasz*, *Zdrowaś* i *Chwała Ojcu.*

b) Pomocnicy żyjący w seminarjach, kollegjach i innych Zgromadzeniach, mogą dostąpić wszystkich odpustów nadanych Związkowi Pomocników, jeżeli wypełnią inne warunki i zwiedzą swój kościół, lub w braku tegoż, prywatną kaplicę swego domu.

Uwaga. — Aby dostąpić powyższych *odpustów*, trzeba należeć do Związku Pomocników i odmawiać codziennie *Ojcze Nasz*, *Zdrowaś Marja* i *Chwała Ojcu* na intencję Ojca św. z westchnieniem: *Święty Franciszku Salezy, módl się za nami!*

(Dekrety św. Kongregacji Odpustów i Relikwji z 1. 10. 1904 i z 8. 5. 1906 r.).



Misjonarze wygnańcy.

Obrazek z czasów prześladowania zgromadzeń zakonnych w rzeczypospolitej ekwatorskiej.

(Ciąg dalszy).

Rozdział XIV.

Wróćmy na chwilę do zakładu *Protectorado* w Quito. Biedny br. Jacek, skoro tylko usłyszał na policji iż jest wolny, wypadł na ulicę i odetchnąwszy świeżem powietrzem, pobiegł do pałacu arcybiskupiego. Czasy były burzliwe i ks. arcybiskup przyjmował tylko osoby zupełnie pewne i znane; to też br. Jacek, który poprzednio nigdy nie bywał u arcypasterza, otrzymywał na wszystkie prośby i zaklęcia jedną tylko odpowiedź od wiernego stróża: „księdza arcybiskupa niema!"

A jednak trzeba się było koniecznie rozmówić z jaką przyjazną osobą, poprosić o radę i pomoc. Konsul niemiecki zawsze nam okazywał wielką życzliwość, może się więc zechce zająć nami. Chwycił się tej myśli, jak tonący ostatniej deski ratunku, i bieży, co sił starczy, do konsulatu niemieckiego. Lecz napróżno; nie uzyskał posłuchania. — Nie było innej rady, jak zdać się na wolę i opiekę Bożą i wrócić do *Protectorado.*

Po drodze zasięgnął języka o dalszych losach wygnańców i dowiedział się, że ich poprowadzono ku północy. Rychły ich powrót był zupełnie wykluczony: trzeba ich zatem było w jaki sposób zastąpić, aby garstka kleryków i chłopców nie poszła w rozsypkę.

Tak myślał br. Jacek, zdążając spiesznie do zakładu. Tu tymczasem sprawy poczęły się wichrzyć. Dawna karność upadała, mnożyły się objawy bezradności i rozprzężenia. Po modlitwach porannych zgromadzili się klerycy i wychowankowie na podwórzu, aby zastanowić się nad sytuacją. Jedni pragnęli pozostać w zakładzie, inni chcieli wrócić do rodzin swoich: ogromna większość uchwaliła wyruszyć natychmiast z miasta, odszukać uprowadzonych przełożonych i dzielić z nimi los wygnania. „Choćbyśmy mieli na koniec świata za nimi iść, to pójdziemy! Od czegośmy synami wolnej Ameryki, żeby nas mieli Europejczycy swą szlachetnością zawstydzać? Oni opuścili dla nas piękną ojczyznę, a my za nimi ani kilka mil poza Quito nie wyjdziemy? Komu krew amerykańska w żyłach, z nami!"

Gdy tak się unoszą i zapalają, zjawia się na podwórzu smutna i przygnębiona postać brata Jacka. Z okrzykiem radości rusza ku niemu fala młodych wiecowników, dopytując się natarczywie o przygody przełożonych. Brat Jacek ociera łzy, które mu się na widok tej opuszczonej młodzieży w oczach kręcą, opowiada swoje smutne dzieje, nie tai swych przypuszczeń co do losu współbraci wygnańców a w końcu prosi, zaklina na miłość Boską, aby bez rozkazu przełożonych lub ks. arcybiskupa nikt nie opuszczał zakładu. Lubiła go młodzież, więc prośba gorąca i usilna znalazła posłuch. Nawet zapaleńcy pospuszczali główki i poddali się regulaminowi.

Kierownictwo zakładu objął tymczasem br. Jacek, który też nazajutrz udał się ponownie do ks. arcybiskupa i został zaraz bardzo życzliwie przyjęty. Czcigodny arcypasterz Pedro Rafaele Gonzalez y Calisto wypytywał się z ojcowską troskliwością o wszystkie szczegóły uwięzienia księży i przyrzekł przysłać jednego ze swych kapłanów, który miał do powrotu wygnańców stać na czele zakładu.

Tymczasem rzeczy wzięły inny obrót. Gdy br. Jacek wrócił do zakładu z dobrą nowiną, zastał na miejscu nasłanego przez rząd dyrektora cywilnego, otoczego gronem panów, prefektów i nauczycieli. Nowy kierownik kazał zwołać natychmiast wszystkich wychowanków i przedstawiając się w kwiecistej mowie jako ich bezpośredni zwierzchnik, nie szczędził nagany i obelg swemu poprzednikowi księdzu Calcagno. Takie wystąpienie wzburzyło do reszty wszystkie umysły. Rozpoczęła się tłumna emigracja a raczej ucieczka: w przeciągu kilku dni zakład się zupełnie wypróżnił. Chłopcy wrócili do swych rodzin, klerycy udali się do ks. arcybiskupa, który chętnie byłby ich przygarnął do swego seminarjum, lecz z obawy przed szykanami i gwałtami rządu porozsyłał ich w przebraniu do różnych domów zakonnych.

W Quito został sam br. Jacek. Śledził stosunki polityczne, od czasu do czasu zaglądał do nowicjuszów w Sangolqui, zakradał się do klasztorów, w których ukrywali się klerycy i wnosił wszędzie otuchę i nadzieję w lepsze czasy.

(C. d. n.)

MISJE SALEZJAŃSKIE

Teraz, albo nigdy!

W każdym czasie i narodzie niechrześcijańskim należy rozwijać gorliwą pracę misjonarską. Lecz chwila obecna jest dla pewnego narodu tak naglącą, iż jeżeli nie pospieszymy z natychmiastową, energiczną pracą misyjną, to cały jeden 400-miljonowy naród przepadnie na nieprzewidziany czas dla chrześcijaństwa.

Olśniewające postępy nauk zostały zużytkowane do rozkrzewiania bezbożnego poglądu na świat boży. Z jakim skutkiem, to pokazuje Japonja.

Z niewidzianą ruchliwością i energją rzucił się naród japoński na wiedzę i technikę europejską, przyswoił sobie nowoczesną cywilizację. Atoli jego nauczycielami byli ludzie bez Boga i Japonja nauczyła się od nich zaradzać sobie bez Boga. Oszołomiony swymi postępami, naród japoński porzuca dawną, religijną wiarę w bóstwa i popada w jakiś nowy, zimny paganizm; przestał czuć potrzebę religji: przepadł dla wiary katolickiej.

Podobne niebezpieczeństwo zagraża Chinom. Jeżeli w najbliższych 10-20 latach nie uda się chrześcijaństwu zająć tam stanowiska wpływowego, wtenczas naród ten da się ogłupić i oszołomić przez błyskotliwą kulturą europejską, która bardziej niż pogaństwo oddala pogan od prawdziwej wiary, i cały ten 400-miljonowy naród będzie dla Kościoła i nieba prawie stracony. Przypatrując się temu, chciałoby się zawołać na cały świat, krzyknąć o pomoc teraz, kiedy jeszcze czas do ratunku, kiedy jeszcze część tego szalonego prądu dałoby się ująć w zbawienne łożysko wiary katolickiej.

PATAGONJA POŁUDNIOWA.

(List misjonarza sal. Piotra Rossiego).

Wyspa Dawson, z Misji św. Rafała 11. sierpnia 1906 r.

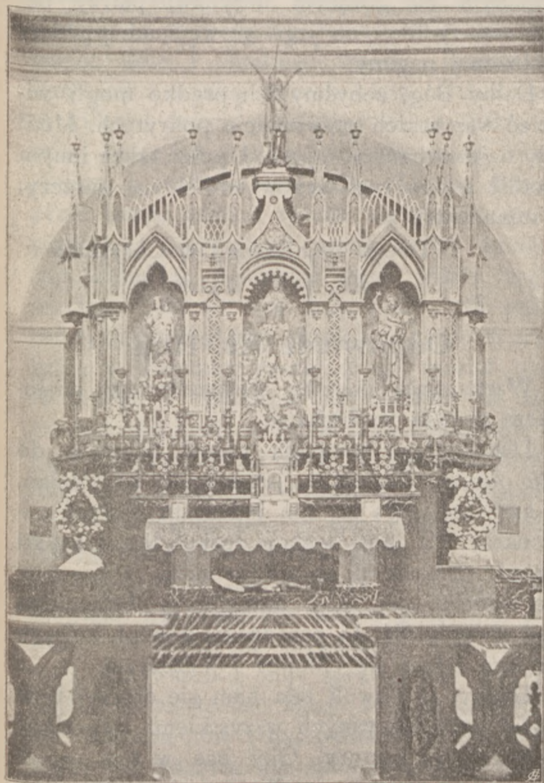
NAJPRZEWIELEBNIEJSZY KSIĘŻE RUA!

10go lipca b. r. cała nasza osada była w nadzwyczajnym ruchu. Przechadzałem się właśnie z chłopcami, aż tu naraz na brzegu morza ukazuje się flaga, a wkoło niej wielkie zbiegowisko ludzi. Co zaszło? Oto 11 Indjan z Ziemi Ognistej, którzy porzucili byli osadę, spotkawszy się z losem syna marnotrawnego, postanowili, jak on, wrócić do domu ojcowskiego. Przyjęto ich też z oznakami najtkliwszej radości. Zabito tłuste cielę i dano wszystkim pojeść sobie do syta.

Co obok wiernego zachowywania przykazań wiary św. najbardziej wpływa na moralność tych mieszkańców, to praca. Toż można powiedzieć, iż w misji Dawson każdy Fuegińczykza pracowuje sobie na chleb powszedni. Nawet niewiasty schodzą się za dnia do wielkiej pracowni, gdzie się zazwyczaj zajmują przędzeniem wełny.

W szkole kładzie się naturalnie największy nacisk na naukę religji św. Tak historja biblijna i żywot Pana Jezusa, jak historja ziemi ojczystej, geografja, arytmetyka, historja powszechna, są tu wogóle rzeczą znaną. A dziełka jak „Pastuszek gór alpejskich", albo żywot młodzieniaszka Dominika Savio i czasopismo „Spiga d'oro" (złote kłosy) bywają rozchwytywane z wielką chciwością. Bieda atoli niemała ze starszymi. Ci nie tylko że nie mogą nauczyć się czytać i pisać, ale potrzeba niemałej cierpliwości, aby im wbić do głowy codzienne modlitwy. Tak n. p. stary Elizeusz, chociaż dość poprawnie odmawia *Ojcze nasz i Zdrowaś,* nie zdołał sobie jednakowoż w żaden sposób zapamiętać drugiej części *Gloria Patri* (Chwała Ojcu), tak iż gdy kierownik pacierza głosi *Gloria Patri et Filio et Spiritui Sancto,* nasz Elizeusz odpowiada z całą po-

bożnością: *Gloria Patri et Filio et Spiritui Sancto.* Jak głęboko zaś nabożeństwo do Najśw. Marji Panny wsiąknęło do serca tych ludzi, mogłem się o tem przekonać, gdy mi przyszło być obecnym przy skonie niektórych nawróconych Indjan. Musiałem nieraz zawołać z podziwem: „Jakże piękną jest śmierć czcicieli Marji!" Tak n. p. mały Staś czując blizki swój zgon, rozmawiał ze mną o śmierci z nieopi-



Ołtarz w kaplicy salezjańskiej w szpitalu trędowatych w Agua de Dios.

sanym spokojem, a gdy mu próbowałem wyperswadować, iż choroba jego nie jest bynajmniej tak poważna, — „co mi tam śmierć, przerwał mi z uśmiechem; jeszcze dziś rano prosiłem o nią Najśw. Pannę i Anioła Stróża i jestem spokojny: przepędzę niejaki czas w czyścu i niezadługo dostanę się do nieba." Krótko potem zamknął słodko powieki jakoby do snu. Miał on wtedy lat 14. Co tydzień przystępował regularnie do Sakramentów św. Czytając żywot Dominika Savio, przyswoił sobie jego hasło: *Przyjaciółmi moimi będą Jezus i Marja.* Charakterystyczną jest modlitwa, jaką do codziennego odmawiania wypisał sobie na pewnym obrazeczku. Oto jej dosłowne tłumaczenie: O słodki mój Jezu! o Matuchno moja Marjo! przyjmijcie, proszę Was, piękny układ, jaki chcę zawrzeć z Wami. Układ polega na tem, że i w ciągu niniejszego dnia chcę i pragnę żarliwie za każdem mem tchnieniem uczynić z najżywszem uczuciem, z głębi serca mojego tyle aktów miłości, chwały, uwielbienia i dziękczynienia Waszemu Najświętszemu i Najukochańszemu Sercu, ile jest kropli wody w morzach, rzekach i jeziorach całego świata. Pragnę je zaś połączyć z tymi wszystkimi aktami, które Wam składają i składać będą wszyscy Aniołowie i wszyscy Święci w niebie, a to w tym celu, aby Wam wynagrodzić za wszystkie zniewagi wyrządzone Wam przez heretyków, przez niewiernych i złych chrześcijan." Takich i temu podobnych wiernych chrześcijan - tubylców spoczęło na naszym cmentarzu misyjnym już 754. Co za pociecha dla misjonarza!

Pobłogosław nam, Drogi Ojcze, i często polecaj nas Najśw. Wspomożycielce.

Twój najprzywiązańszy w S. J.

br. Piotr M. Rossi.

MATTO GROSSO.

(BRAZYLJA)

Wzruszająca prośba.

(List ks. Jana Balzoli).

Osada Najśw. Serca (Cuyabà), 26. czerwca 1906 r.

Najczcigodniejszy Księże Rua!

Jeszcze niema dwóch miesięcy, jak wysłałem sprawozdanie z działalności tej misji, aliści muszę znowu zwrócić się z pismem do Czcigodnego Ojca.

Brak personału!

Wierzaj mi, najukochańszy Ojcze, brak nam absolutnie personału. Rozwój misji jest taki, iż musi ona koniecznie zostać zasilona kilku dzielnymi braciszkami. Wszak pamiętasz, drogi Ojcze, jaka tego była potrzeba już przed czterema laty, — cóż dopiero teraz, kiedyśmy przez śmierć drogiego Bertolina oraz przez wysłanie poczciwego Dominika do trzeciej Osady, tak poważne postradali siły! Niech ten lub ów z nas zaniemoże, i ot cóż wtedy po-

* *

czniemy, żeby nie dopuścić do zupełnego zastoju w pracach przedsięwziętych?

Tegośmy właśnie doznali w tych dniach; jeden skaleczył się w nogę, drugi w rękę; obaj skazani przez to na bezczynność, musieli poniewolnie zwalić swoje zajęcia na barki innych, już i tak nadmiarem pracy obciążonych współbraci. Ja sam musiałem przez dwa z rzędu tygodnie wstawać codzienne krótko po północy, aby załatwić swoje sprawy i następnie dozorować Indjan w pewnych ich zajęciach.

Nie myśl atoli, drogi Ojcze, iż upadamy na duchu. Owszem błogosławimy Opatrzność za prace, jakie nam zsyła i za dobre usposobienie, jakiem obdarza naszych Indjan. Bo patrz, najukochańszy Ojcze, gdy nie stało nam mistrza ciesielskiego do rznięcia desek, wzięliśmy kilku niedorostków, pokazaliśmy im, jak należy się do tego zabrać i nie trwało długo, a nauczyli się rznąć deski doskonale! W taki sam sposób zabrali się do wyrobu cegieł, do powożenia końmi, do wykonywania robót domowych, a wszędzie wywiązali się znakomicie z swego zadania, nawet w szkole, w nauce, muzyce, w obrzędach kościelnych itp.

Więc widzisz, najukochańszy Ojcze, iż jakkolwiek P. Bóg spuszcza na nas cierpienia, to niemniej nie zapomina nas pocieszać. Ale tym, coby się chcieli zgłosić do tej misji, nie omieszkaj powiedzieć, że powinni się uzbroić w szczególniejszą cnotę, bo na misji życie zawsze jest pełne poświęcenia. Mianowicie powiedz to drogim braciszkom, bo od ich dzielności wszystko tutaj zawisło.

Brak ubrań dla Indjan.

Co mnie napełnia boleścią, to brak ubrań, któremibym mógł pokryć te biedne istoty. Gdy który z Indjan dostaje, w nagrodę większej pracowitości, kawałek odzieży, zdaje się zupełnie innym. Ale cóż, kiedy tych nagród nie staje dla wszystkich! Musimy się więc godzić z położeniem i oglądać jednych pokrytych samą tylko koszulą, innych jakąś bluzą lub kawałkiem szmaty a innych niczem... i to nas bardzo boli i zawstydza. A jednak cóż my temu winni? Cóż oni temu winni?

Ale pozwól, że (celem pobudzenia do chojności naszych Pomocników) dodam i to: gdy się Indjanie pierwszy raz zbliżają do cywilizowanych, nie znają wstydliwości i poniekąd nie spostrzegają swej nagości; atoli skoro się zżyli trochę z cywilizacją i przez pewien czas mieli się czem pokrywać, poczynają odczuwać przyrodzoną siłę wstydu i niepodobna im już pokazywać się wobec kogoś bez odzieży. Koło naszej osady mamy już wielu mężczyzn i niewiast, mianowicie chłopców i dziewcząt, co się nie pokażą wobec nikogo bez należytego pokrycia. Zdarza się czasem, że ten lub ów w chatce zrzuci jeszcze swe łachmany; skoro jednak pomiarkuje, iż się ktoś zbliża, biegnie co tchu po nie i okrywa się. A jeżeli przybyszem jest który z nas, tedy biedny dzikus, widząc się złapanym na gorącym uczynku, patrzy bojaźliwie, rychłoli na jego głowę spadną gromy zasłużonej nagany.

Dałby Bóg, żebyśmy ich prędko mogli widzieć wszystkich przyzwoicie pokrytych. Módl się, najukochańszy Ojcze, i poleć także innym modlić się za tych synów twoich na puszczy, a mianowicie za

Twego najniższego w Chrystusie
Ks. Jana Balzolę.

Odpowiedź Ks. Rua.

Wzruszająca odezwa niestrudzonego misjonarza została wysłuchana.

Dwunastego listopada ruszył okrętem do *Rio Janeiro* inspektor (prowincjał) ks. Malan, a 22go podążyło za nim jedenastu nowych misjonarzy. Za nimi wysłane zostały liczne sztuki ubrań, 12 kądzieli, 20 kołowrotków, 2 maszyny do wyrobu nici, aby tamtejszym Indjankom dać sposobność do przędzenia konopi, których uprawą zajmą się chłopcy i mężczyźni.

Ufamy, iż powoli uda nam się otoczyć tych nowo ucywilizowanych wszystkiemi wygodami nowoczesnej kultury. Oby nas w tem przedsięwzięciu wsparli modlitwą i jałmużną nasi gorliwi Pomocnicy!

Wycieczka misyjna na północ od Cuyabà.

(Sprawozdanie ks. A. Colbacchiniego).

Coxipò da Ponte (Cuyabà), 29. sierpnia 1906.

Najczcigodniejszy Księże Rua!

Choć spóźnione, posyłam Ci jednak, drogi Ojcze, to sprawozdanie z misji, którą przed kilku miesiącami odprawiłem po tamtej stronie rzeki Cuyabà.

Ośm dni podróży. — W Araras.

Metą naszej podróży była *Barra do Rio dos Bugres*, oddalona od *Cuyabà* jakie 40 stai, t. z. 5-6 dni podróży konnej. Pożegnawszy się

z przełożonymi, zwłaszcza z ks. Malanem, w towarzystwie jednego kleryka i jednego przewodnika przebyłem rzekę, na której drugim brzegu czekał już na nas z końmi pewien nasz przyjaciel, aby nas zabrać do siebie. Następnego dnia wiedza topograficzna naszego przewodnika zawiodła i musieliśmy się posuwać naprzód na chybił trafił, a noc spędzić pod gołem niebem. Czwartego dnia dotarliśmy do *Araras*, gdzie żyje pewien pan, który sprzykrzywszy sobie życie wiejskie, osiadł na roli i oddaje się spokojnemu życiu sielskiemu, uprawiając pole i chodując trzody. Przyjął nas i ugościł z wielką uprzejmością. Ochrzciwszy tu kilkoro dzieci, puściliśmy się w dalszą podróż, która od *Araras* staje się coraz mozolniejszą i niebezpieczniejszą. Trzeba brodzić przez liczne potoki, spinać się przez groźne przełęcze, przedzierać przez dzikie knieje i zapuszczać w dziewicze lasy, gdzie tygrys rozciąga jeszcze swe panowanie. W rzeczy samej spostrzegliśmy ślady wielkiego tygrysa, który w kierunku naszej drogi musiał gonić za łupem, a niebawem natrafiliśmy na zbroczone krwią miejsce, gdzie prawdopodobnie dopadł i poszarpał swą ofiarę. Takie spostrzeżenia niepokoją cokolwiek człowieka, lecz misjonarz ufa w szczególniejszą opiekę Anioła Stróża i Anioła opiekuńczego tych lasów.

Gdziekolwiek natrafialiśmy na osady, podejmowano nas wszędzie bardzo gościnnie, a na wieść o przybyciu misjonarza cała okolica porzucała wszelkie inne sprawy, aby przynajmniej raz wysłuchać Mszy św., przystąpić do św. Sakramentów i dać ochrzcić dzieci. Pewna kobiecina zdążyła na miejsce mego pobytu w chwili, gdy już wsiadałem na koń, by ruszyć w dalszą podróż. Od roku oczekiwała misjonarza i gdyby była przeoczyła tę okazję, kto wie jak długo musiałaby znowu czekać. Jakże byłoby na miejscu, gdyby misjonarz mógł kilka razy do roku przebiec te okolice!

Barra do Rio dos Bugres.

W końcu, po ośmiodniowej podróży, stanęliśmy w *Barra dos Bugres*, skąd najznakomitsze osobistości wyszły na moje powitanie. *Barra do Rio dos Bugres* (= Dopływ Rzeki dzikusów) przed kilku laty nie istniała jeszcze, a miejscowość uchodziła nawet za groźną z powodu zamieszkujących ją *Barbadosów*, którzy nastawali na życie każdego, co się tam zapuszczał.

Bogactwo tej ziemi polega na wielkiej ilości *ipekakuany* (1) i kauczuku. Aby takowe wyzyskać, trzeba było przemocą wyprzeć opierających się tubylców, przyczem z właściwą wyzyskiwaczom brutalnością zdziesiątkowano biednych *Barbadosów*.

Przez cały ciąg mego tamże pobytu miałem do czynienia ze chrztami, a jako upoważniony także do bierzmowania, udzieliłem tego sakramentu około 80 osobom.

Dwa dni śród borów.

Moim zamiarem było nie wracać do *Cuyabà* prostą drogą, lecz zboczyć jeszcze trochę na północ, do czego szlachetni obywatele z *Barra dos Bugres* dopomogli mi radą i środkami. Przez dwa dni przedzierałem się przez gęste knieje, w których odzywają się jeszcze echa morderczych walk Indjan z poszukiwaczami *ipekakuany*. Straszną była noc spędzona śród tych odwiecznych lasów. Rozłożeni nad brzegiem ruczaju wokoło rozpalonego ogniska, nie mogliśmy przez całą noc oka zmrużyć, bo ostry i ochrypły ryk drapieżnych zwierząt, ponury głos ptaków nocnych, syk wężów, a najbardziej świstania małp lawirujących w poblizkich gałęziach straszyły już i tak rozognioną fantazję.

Ale doczekaliśmy się wreszcie ranka i ruszyliśmy dalej. Zanim zapadł wieczór tegoż dnia, zdołaliśmy dotrzeć do osady p. Jorettiego, naszego zacnego przyjaciela i Pomocnika; tu zeszli się okoliczni mieszkańcy na Mszę św. i naukę religji, stawili się z dziećmi do chrztu św. i. t. d. Poczciwy gospodarz obdarzył mnie przed wyjazdem świeżym koniem w zamian za mego już upadającego; ponadto ofiarował chojną jałmużnę na misje śród *Bororosów*.

Podobnej gościnności doznaliśmy także w innych osadach, aż w wigilję Wszystkich Świętych stanęliśmy z powrotem w naszym domu w Cuyabà.

Oto, drogi Ojcze, sprawozdanie z mej misji. Wszędy rozdawałem obrazki i medaliki Najśw. Panny Wspomożycielki, aby ta dobra Matka wspomagała, broniła i doprowadziła do nieba tyle biednych dusz pozbawionych wszelkiej pomocy religijnej.

Pobłogosław z serca, ukochany Ojcze,

Twego najpokorniejszego w Chrystusie
Ks. A. Colbacchiniego.

---

(1) Ipekakuana (po polsku: wymiotnica) jest to krzak, którego korzonki posiadają własności lecznicze. Proszek z nich sporządzony jest gwałtowną trucizną; w połączeniu zaś z pewnymi składnikami chemicznymi działa rozwalniająco, wywołuje wymioty i t. d.

WIADOMOŚCI POTOCZNE

OD WYDAWNICTWA. — Cel, charakter, prenumerata naszego pisma. — W ustawach Pomocników Salezjańskich, które zatwierdzone zostały brewem Piusa IX z dnia 9. maja 1876 r., w rozdziale V, art. 7. czytamy, co następuje:

,,*Co trzy miesiące albo jeszcze częściej zdawać się będzie Pomocnikom, czy to za pomocą biuletynu czy też innego pisma, sprawę z tego wszystkiego, co nam przedłożono, co już zrobiono i co do zrobienia pozostaje.*

,,*Pod koniec każdego roku przedłoży się stowarzyszonym spis spraw, któremi w następnym roku najwłaściwiejby się zająć należało.*

,,*Poda się również wykaz zmarłych członków związku, polecając ich dusze wspólnym modlitwom.*''

Powyższym postanowieniom czyni się zadość przez *Wiadomości Salezjańskie*, które stały się organem Zgromadzenia Salezjańskiego i Związku Pomocników, ich łącznikiem wzajemnym i pismem urzędowem. Zadaniem ich jest omawianie czynności i spraw obu tych korporacji, wskazywanie punktów, około których w pewnych chwilachześrodkować się mają obopólne siły i ogłaszanie rezultatów uzyskanych na polu wychowania i miłosierdzia.

A więc **„Wiadomości Salezjańskie" nie są pismem politycznem.** Jak synowie księdza Bosko stoją zupełnie poza ruchem politycznym, tak pisemko ich stale i z zasady trzyma się zdala od wiru wypadków publicznych, nie wchodzi w spory państwowe, stroni od walk narodowościowych.

„Wiadomości Salezjańskie" nie są pismem naukowem ani krytycznem i dlatego nie ogłaszają rozpraw z różnych gałęzi wiedzy. Nie są przeznaczone dla jednej warstwy społecznej, lecz dla wszystkich bez wyjątku: dla ubogich, dla bogatych, zarówno dla uczonych jak dla prostaczków, dla ludzi z wykształceniem uniwersyteckiem, średniem i niższem. Są więc pisane przystępnie, prosto, językiem codziennym, ludowym.

„Wiadomości Salezjańskie" nie są też pismem humorystycznem, ani wyłącznie ascetycznem i katechizującem, choć często zabrzmi w nich nuta wybitnie wesoła, a nauk moralnych, zwłaszcza na temat miłosierdzia bliźniego, wskazówek pedagogicznych, barwnych opisów i zajmujących epizodów z życia misyjnego i zakładowego znajdzie w nich Czytelnik źródło niewyczerpane.

Za „Wiadomości Salezjańskie" nie pobiera się stałej prenumeraty. Odbiorcy (w pierwszym rzędzie Pomocnicy Salezjańscy) płacą za pismo tyle, ile im na to środki pozwalają a miłość chrześcijańska dyktuje. Stałych obowiązków nie nakłada się zatem nikomu: odwołujemy się jedynie do możności i dobrych chęci. Kto wedle sił swoich wspiera zakłady salezjańskie, ten pokrywa już *tem samem* wydatki nakładu i przesyłki, wynoszące rocznie mniej więcej 4 korony — 4 marki — 2 ruble.

Wiadomości Salezjańskie nie zaraz dotarły do wszystkich zakątków Polski. W niektóre okolice idea ks. Bosko dopiero teraz wnika. Daleko jeszcze do tego, aby Związek Pomocników Salezjańskich ogarnął cały naród. A jednak do tego przyjść musi — wierzymy w to niezachwianie, jak również i w to, że się spełnią słowa ks. Bosko: ,,*Przyjdzie czas, kiedy być dobrym katolikiem a Pomocnikiem salezjańskim, będzie znaczyło jedno i to samo.*'' Dlatego zwracamy się do łaskawych Czytelników z serdeczną prośbą, aby się raczyli starać o nieustanny wzrost swego grona. Przecież każdy Czytelnik wśród krewnych, znajomych, sąsiadów swoich znajdzie co najmniej kilku dobrych katolików, to znaczy ludzi, którzy żyją wedle wiary i pragną szczerze zbawienia swojego i swoich bliźnich; tacy z największą pewnością powiększyliby ich zastęp. Nie chodzi tu bynajmniej o to, czy ci katolicy mniej lub więcej zamożni, lecz o to, czy pragną ratować młodzież i społeczeństwo. Niech ich zaproszą do czytania *Wiadomości Salezjańskich*, niech nam prześlą ich adresy: resztę sprawi łaska Boża i ich dobra wola.

O to prosimy przedewszystkiem naszych Przyjaciół i Czytelników z *Królestwa* i *Litwy*. Zakład salezjański w *Oświęcimiu* podejmuje się najchętniej każdego pośrednictwa w tym względzie i udziela wszelkich informacyj.

OŚWIĘCIM. — Pierwszy list okólny wystosował pod datą 10. grudnia z. r. Przew. ks. Jan Świerc, dyrektor zakładu salezjańskiego w Oświęcimiu do pewnej części naszych Czytelników. Dowiadujemy się z różnych stron, że pismo jego zostało przychylnie przyjęte i czytane. O ile część pierwsza była okolicznościowa i zawierała życzenia wesołych świąt, o tyle druga, streszczająca się w gorącej prośbie o zapomogę, była wyrazem przesilenia materjalnego, które do dziś dnia grozi zakładowi rzeczywistą klęską. Pozwolimy sobie przedrukować na tem miejscu ustęp, który najwięcej zasługuje na uwagę:

,,Każdemu wiadomo, jak powszechnie żalą się ludzie na obecne ciężkie czasy i słusznie. Lecz cóż mają powiedzieć kierownicy zakładów utrzymujących się prawie wyłącznie z ofiarności publicznej i mających do wyżywienia nie czworo lub pięcioro, ale całe setki dzieci? W tutejszym zakładzie pomnożyła się znacznie w ostatnim czasie liczba chłopców całkiem biednych i takich, którzy zaledwo w części pokrywają wydatki za swoje utrzymanie; mimo to przeszło dwustu chłopcom musiano odmówić przyjęcia jedynie dla braku miejsca. Ażeby więc módz w przyszłości przygarnąć większą liczbę chłopców, konieczne było powiększenie zakładu i oto stanął

w tym roku nowy gmach, który kosztuje kilkanaście tysięcy. W bieżącym miesiącu przypada termin spłacenia wielkich rat za materjały budowlane, jakoteż za artykuły spożywcze, a w kasie zakładowej pustki...

„Wyznaję, że gdyby nie ufność w Bogu i w naszej przemożnej Patronce, Najśw. Marji Pannie, Wspomożeniu Wiernych, byłbym zmuszony w tych dniach znacznie zmniejszyć liczbę chłopców. Lecz Opatrzność Boża broniąca mnie od zwątpienia, wskazuje mi drogę wyjścia, wskazuje mi Was, Przezacni Pomocnicy i Czcigodne Pomocnice, którzy przez Nią zostaliście wybrani za narzędzie do dokonania wielkich rzeczy, do wspierania i do utrzymywania domów salezjańskich, rozpowszechnionych po całym świecie. Otóż w imieniu tej Opatrzności, księża Salezjanie odprawiać corocznie po wieczne czasy dwanaście Mszy św. w kościele Wspomożycielki Wiernych w Oświęcimiu. Za *zelatorów* prócz tego wychowankowie zakładu odprawiają bezustannie nowenny do Najsł. Serca Jezusowego i do Wspomożycielki Wiernych, a przez jeden rok od poświęcenia kościoła tamtejszego będzie za nich odprawiana każdego piątku Msza św. do Boskiego Serca a w soboty na cześć Niebieskiej Patronki.



Dom salezjański w Daszawie (główne zabudowanie).

w imieniu naszej niebieskiej Patronki, w imieniu 200 chłopców wychowujących się na dzielnych członków społeczeństwa i Kościoła katolickiego pukam do serc Waszych litościwych i proszę o pomoc.

„Różne podarunki przygotowujecie obecnie na gwiazdkę dla drogich Wam osób, nie zapominajcież przytem o zakładzie salezjańskim w Oświęcimiu, lecz z miłości ku nowonarodzonemu Dzieciątku raczcie go wesprzeć wedle sił i możności. Jałmużna Wasza, bądźcie pewni, nie pójdzie na marne, ale zroszona błogosławieństwem z nieba, wyda błogie i obfite owoce dla dobra kraju naszego. Dajcie tedy co możecie i zachęcajcie innych do dania.“

Odezwę Przew. ks. Świerca polecamy gorąco wszystkim Czytelnikom a zarazem wskazujemy im dwa sposoby, którymi można przyjść mu z pomocą w utrzymywaniu zakładu i budowie kościoła.

a) *Wszystkim* polecamy rozkrzewianie oświęcimskiego Związku Mszalnego. Do związku tego przystępuje jako *członek* każdy wierny, składający na zakład i kościół salezjański w Oświęcimiu ofiarę nie mniejszą od 1 korony (1 marki lub 50 kopiejek). *Zelatorem* staje się, kto na ten cel złoży 4 korony (4 marki lub 2 ruble). Za *członków* obowiązują się

Członkowie otrzymują nadto obrazki pamiątkowe a *zelatorowie* ścienny obraz Wspomożycielki. Imiona i nazwiska ich będą w osobnych książkach przechowane na wieczną pamiątkę w kościele salezjańskim.

b) *Zamożniejsi* mogą wesprzeć budowę kościoła przez następujące fundacje:

Z ośmiu filarów postawionych w nawie, zostało przez osoby pobożne zapłaconych dopiero sześć. Niewątpliwie znajdą się jeszcze dobrodzieje, którzy zechcą fundować ostatnie dwa filary po 1500 koron (1300 marek, 600 rubli). Ich ofiary będą upamiętnione na filarach napisami na płytach metalowych.

Podobnie poszukuje się fundatorów na 6 kamiennych okien gotyckich w nawie, z których każde kosztuje 800 koron (700 marek, 350 rubli). Jałmużny będą w swoim czasie uwidocznione na witrażach kolorowych.

W tejże nawie ustawiono ośm ołtarzy bocznych, z tych 6 z kamienia sztucznego. Dwa już są fundowane. O reszcie pomyślą niezawodnie osoby dbałe o chwałę Bożą.

Nie wątpimy o tem, że łaskawi Czytelnicy zechcą pojąć trudne położenie ks. dyrektora zakładu oświęcimskiego i raczą mu przyjść z pomocą, choćby tylko tym groszem, który poszedłby na niepotrzebne, zbytkowe — a może nie najlepsze zabawy.

Z życia w zakładzie oświęcimskim. — Jakto, Mości Kronikarzu, czy listopad i grudzień nie istniał dla waszego pamiętnika?

Istniał, ale barometr humoru wskazywał stale na deszcz i burzę, a fantazja dostała się z zżółkłymi liśćmi pod nogi. Wieczorem, zamiast siadać przy lampie i spisywać wrażenia, robiło się krechę w poprzek i szło się spać. A jednak niejedna chwila w tych dwóch miesiącach musiała być wcale niepowszednią, skoro zostawiła po sobie ślady nawet w mojej pamięci.

4. listopada. — Imieniny ks. proboszcza i p. burmistrza z wieczorkiem na cześć solenizantów. Program obejmuje dwie części: w pierwszej muzyka i deklamacje dalibóg wcale ładne, a już najpiękniejszy urywek z *Trubadora* Verdiego. Z niecierpliwością spoglądam na część drugą, zapowiadającą jednoaktową krotochwilę p. t. *Ośla klasa.* Musi to być ładne, praktyczne, wzięte z życia codziennego; zresztą po zakładach młodzież w takich sztukach nie potrzebuje zbyt daleko od siebie po przykłady wychodzić. Już reżyser macha potężnie dzwonkiem, kurtyna unosi się powoli i odsłania klasę — właśnie taką, do jakiej przed niedawnemi laty chodziliśmy z tabliczką pod pachą dostawać łapy i coś więcej jeszcze... Miałem wrażenie, że nie stoję przed sceną, ale przed fotografją potwornie wielką, potwornie wierną, fotografją klasy, w której cała godzina zajęta wywiadywaniem się dlaczego ten i ów się spóźnił, kto włożył łupiny orzechowe na katedrę, kto nasmarował trzcinkę cebulą i t. d. Uczniom w to graj! Bezradny nauczyciel tupie, dobiera wyzwisk i odgraża się p. dyrektorem. A właśnie zjeżdża komisja, bo to pod koniec roku: egzamin stwierdza „kubiczne osłostwo skończonych kpów". — Sztuka cięta, pełna humoru; aktorzy grali doskonale.

Na dzień 25. listopada odroczyli nasi muzycy uroczystość swej patronki św. Cecylji. W kościele uroczyste nabożeństwo, podczas którego chór i orkiestra po prostu się popisywały. Po południu zaś stanęło do popisu zakładowe gniazdo Sokołów. Dzień pogodny i ciepły nęcił do zabawy i uśmiechał się do odbywających się przy dźwiękach muzyki pochodów, ćwiczeń wolnoręcznych i laskami. Wprawdzie ten i ów niekiedy niedość odskakiwał, słabo nacierał, ale tłumaczono sobie, że to jeszcze niewinna walka na palcaty. Młodzi Sokoli zebrali bogate żniwo oklasków i okrzyków.

Dzień 8. grudnia przełamał nawet moją flegmatyczność. Dziś jeszcze na samo jego wspomnienie odczuwam silny natłok błogich uczuć. Niestety, drogi Redaktorze, nie mogę wam ich wszystkich przepisać, bo to moja własność ściśle prywatna. Mógłby mnie kto posądzić o bigoterję i sentymentalizm. Oczywiście po różnego rodzaju nabożeństwach proszą nas znowu na deklamacje i muzykę. Program obejmuje aż trzy części, ale rozwija się szybko i zajmująco. Tylko w połowie zakrada się ton niezupełnie właściwy, pozaprogramowy, ale silny bardzo i pamiętny. Przed oczami naszemi zjawia się sympatyczna postać naszego drogiego misjonarza, ks. Stanisława Cynalewskiego. W rzewnych słowach wyraża swoją tęsknotę za stepami patagońskimi, gdzie właśnie w tym dniu kończy się miesiąc Marji, odpowiadający naszemu majowi. Wzywa gorąco do nabożeństwa ku Matce Najśw. i opowiada kilka budujących faktów ze swego życia misyjnego, w których upatruje dowody szczególniejszej opieki Wspomożycielki Wiernych. Żegna się i jedzie do stepów patagońskich, bo za nimi tęskni. Niech go Anieli prowadzą i strzegą w tych dzikich krajach!

Święta w zakładzie. — Chociaż mam sporo notatek w pamiętniku, ustępuję pióra jednemu z wychowanków.

Święta Bożego Narodzenia tuż, a ja zamyślony i smutny. W inne lata uszło jako tako. Człek był mniejszy, dziecinny, humor był i miło było. Ale teraz? Mój Boże! człowiek już dzieciakiem nie jest, aby gonił za orzechem lub pierniczkami. Za tydzień wilja, a tu cicho, głucho, rzekłbym że i ciemno. O teatrzyku lub innej porządniejszej zabawie ani słychu, bo mnieby w takim razie nie pominięto. — Co rok, to gorzej. Gdyby to puścili człowieka na święta do domu bodaj na 3 dni! Ale skąd! zawsze się wykręcają przepisami programu. Kisi się tu człowiek, jak ogórek w beczce. Ciężkie to życie!

Pewnego fatalnego dnia wychodzę z klasy chmurny i skwaszony. Słyszę jakiś turkot na korytarzu: to ks. radca z jakiemś karlęciem wloką kobylicę. Ocho! A więc będzie coś. I kulisy już wynoszą. Nieproszony doskakuję i pomagam. Taka hultajska radość we mnie wstąpiła, że na następnej lekcji już mi profesor kątem groził. Durny pesymizm już nie wiem po raz który u mnie zbankrutował...

We wigilję straszny rejwach: stroją, czyszczą, myją, a przedewszystkiem krzyczą. Dopiero pod wieczór przestało dudnieć na korytarzach. Wszystko spieszy do kościoła lub kaplicy i ciśnie się do konfesjonałów.

Marzę o górze z orzechów i o piernikach (choć człowiek już nie dzieciakiem), gdy wtem o godzinie jedenastej w nocy zadźwięczały wszystkie dzwonki elektryczne i kto żyw zrywa się czemprędzej na pasterkę. W kościele ślicznie. Trąby rzucają się na spokój tajemniczej pory i grają „Wśród nocnej ciszy": setki głosów pochwytują nutę i rzewna kolenda wzbija się pod wysokie sklepienia i pod niebiosa. A tam przy ołtarzu odprawia się pasterka z całym przepychem obrzędów, asysty, kleru, śpiewów mistrzowskich i prostych kolęd. Do Komunji przystąpił każdy, kto w Boga wierzy i Jego Wcielenie.

I wreszcie nadszedł kolędowy wieczór, punkt kulminacyjny wesołości i zabawy. Naturalnie znowu świeże deklamacje. Co my się ich już nasłuchaliśmy! Ale tą razą były bardzo dobre. Przy każdym numerze następuje efektowna zmiana sceny. Jestem zwolennikiem *Postępu* i dlatego z natężoną uwagą słucham rozmowy: „na błędnych torach." Jakiś młodzian, niegdyś wychowanek zakładu, teraz pilny czytelnik *Naprzodu* i *Latarni*, odwiedza swego kolegę — zacofańca. O czemże gadać, jak nie o socjaliźmie? Czerwono krawatkowy gardłuje o wolności i powszechnem braterstwie, aż się trzęsie, ale przyparty porządnie do muru przez kolegę i innych przyjaciół z dawnych czasów, przekonywa się, że został obałamucony. Ciekawy i pełen humoru był monolog „Kapral na urlopie" w gwarze śląskiej; interesujący i piękny szkic: „W drodze ku Betleem."

Po wieczorku, opłatek. Ubóstwiany ks. Inspektor składa życzenia i przypomina, że przełożeni i towarzysze zastępują nam rodziców i rodzeństwo.

Wszyscy porywali się z miejsca i w uścisku braterskim życzyli sobie przy łamaniu opłatka ,,szczęścia, pomyślności i Dosiego roku."

Ano potem następuje rozdawanie łakoci i namiętna gra w orzechy i jabłuszka. Gdy już niejeden faworytek fortuny zapchał kiesę łakomą zdobyczą a wszyscy syci ciastek, choinki i wesela poczynali leniwo mrugać ciężkiemi powiekami, wezwano nas na pacierz wieczorny. Wpół godziny potem każdy odprawiał drugie święto w sennem marzeniu.

W dzień św. Szczepana ten sam rozkład i ta sama radość. Wieczorem znowu zabawa humorystyczna. Nawet Mikołaj się zjawił, choć tak późno. I zrobił swoje: niektórym dostały się cukierki a innym..... rózgi.

..... I już po świętach. Mój Boże! Człowiek już nie dzieciak, a jednak pierniki i orzechy gryzłem, jak przed dziesięciu laty.

DASZAWA — Uroczystość Niepokalanego Poczęcia obchodziliśmy w tym roku z zwykłą wspaniałością przy licznym udziale miejscowej ludności. Poprzedziło ją dziewięciodniowe nabożeństwo z kazaniami, w których kaznodzieja w podniosłych słowach wskazał jakim sposobem należy czcić Niepokalaną Matkę Zbawiciela. Temi nabożeństwami przygotowana ludność, przybyła licznie nie tylko aby uczestniczyć w podniosłych obrzędach kościelnych, lecz także aby przyjęciem Pana Jezusa do swego serca uczcić godnie Niepokalaną Jego Matkę. W rzeczy samej liczba przystępujących do komunji podczas rannej mszy św. była pocieszającą. Nastąpiła suma z asystą i kazaniem, podczas której z chóru spływały harmonijne dźwięki Perosiego i Hallera, oraz poważne melodje śpiewu gregorjańskiego. Po uroczystych nieszporach złożono akt poświęcenia się zupełnego Panu Jezusowi przez ręce Niepokalanej Dziewicy. Mimo spóźnionej pory pobożny ludek chciał jeszcze być obecny na wieczorku muzyczno-deklamacyjnym, na którym chór śpiewaków i liczni deklamatorzy starali się dać wyraz powszechnej radości i uczuciom miłości ku tej Pięknej Niebios Królowej, podczas gdy międzyakty przeplatały gry na skrzypcach, na gramofonie i rzewne, z wielkim entuzjazmem przyjęte, kawałki na cytrze.

We wieczorku, jak we wszystkich obrzędach kościelnych, wzięła liczny udział tutejsza młodzież, co z wielkiem zadowoleniem podniósł, zamykając piękny wieczorek, Ks. Proboszcz z Machlińca, ubolewając nad tem, iż w wioskach okolicznych rodzice tak bardzo zaniedbują wpajać w młodociane serca to nabożeństwo. Zaniedbuje się, tak mówił, kształcić młodzież umysłowo, nie rozwija się w niej zmysłu piękna, zaczem idzie, że w niej zaciera się świadomość co dobre a złe i zdolność do ocenienia i pokochania piękności moralnych, duchownych, nadprzyrodzonych.

Śród powszechnych objawów radości i zadowolenia publiczność rozeszła się do domów, unosząc z sobą miłe, niezatarte wrażenie tej serdecznej uroczystości.

POZNAŃ. — Wielkopolanin pisze w numerze z 13. grudnia zeszłego roku: ,,Wiernym przyjacielem naszego pisma jest misyonarz X. Cynalewski, który powrócił obecnie do kraju po długich wędrówkach morskich. Przebywał on przez czas długi w Ameryce i stamtąd przesyłał nam korespondencye, ostatnimi czasy bawił w Patagonii.

,,W liście do nas wystosowanym donosi nam X. Cynalewski, że ,,Wielkopolaninowi" zawdzięcza, iż nie zapomniał języka ojczystego, ponieważ wszędzie mu go posyłaliśmy i często nasze pismo jedynym jego było łącznikiem z krajem. Pierwsze swe korespondencye umieścił X. Cynalewski w naszem piśmie a liczył wówczas lat 18. — Pierwszy jego artykuł miał tytuł: Baczność! burza nadchodzi z zachodu.

,,X. Cynalewski już w młodzieńczym wieku garnął się do pracy społecznej; mając lat 15 zapisał się na członka Kółka rolniczego w Kozielsku i miewał często odczyty na zebraniach miesięcznych lokalnych w Wągrówcu. W r. 1886 był jako delegat na Walnem Zebraniu Kółek włościańskich w Poznaniu i prowadził na niem pióro. Nie mając sposobów kształcenia się w kraju, wstąpił do zakonu Salezyanów we Włoszech i tam nabył obszernej wiedzy. — Jako misjonarz przez długie lata w Ameryce, gruntownie poznał stosunki naszego wychodźtwa. Obecnie zwiedził X. Cynalewski Bremę, Hamburg, Roterdam i inne miasta portowe i tamże badał również stosunki naszej emigracji.

,,X. Cynalewski poznał niedomagania w sposobie wysyłania emigrantów i obmyślił środki, mogące tym niedomaganiom zapobiedz. Doświadczenia nabyte chciałby zużytkować, na to jednak potrzebuje poparcia. Zwracamy uwagę, komu należy, na szlachetne zamiary X. Cynalewskiego. Sądzimy, że należałoby mu pomódz we wykonaniu dobrych zamiarów."

AGUA DE DIOS (Kolumbja). — Od naszego współbrata ks. Crippy, który od szeregu lat pełni obowiązki gorliwego kapelana w osadzie i lazarecie trędowatych *Agua de Dios*, otrzymaliśmy fotografję pięknego ołtarza, którym przyozdobił swoją kaplicę. Jest to niemal we wszystkich szczegółach jego pomysł i dzieło jego rąk. Fotografję tę zamieszczamy przekonani, że Czytelnikom sprawimy przyjemność.

COYOACAÚ (Meksyk). — Zakłady salezjańskie powstają nieraz w miejscach, których przeszłość pełna jest pamiątek pięknych, chwalebnych, albo też gorzkich i smutnych. Nigdy atoli dotąd nie słyszeliśmy, aby kaplica świąteczna powstała gdzieś na dawnym cmentarzu. Dopiero w ostatnich dniach otrzymaliśmy taką wiadomość z meksykańskiej miejscowości Coyoacau. Ponad prochami pradziadów bawi się wesoło i uczy religji 200 krewkich chłopców rosnących dla wiary i cnoty. Ludność miejscowa chętnem okiem spogląda na nową instytucję i w miarę sił swoich wspiera ją jałmużną i dochodami z festynów.





NABOŻEŃSTWO
do Wspomożycielki Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan. PIUS X.

III. — Gesta Dei per Polonos.

Odsiecz Wiednia (12. września 1683).

Jedyna pomoc pozostawała teraz w **Sobieskim.** Samą jego obecność pod okopami Wiednia uważał Leopold, uważali jego jenerałowie za wielkie wojsko. Aby przynaglić przybycie króla polskiego pospieszyli do Wilanowa, zwykłej siedziby króla Jana pod Warszawą, poseł cesarski **Wilczek** i nuncjusz papieski **Pallavicini.** Sobieski z synami wybierał się właśnie na Mszę św., kiedy poseł niemiecki, padłszy na kolana, zawołał: « *Królu, ratuj Wiedeń!* » a nuncjusz papieski dodał: « *i chrześcijaństwo* ». Leopold prawie mu już ustępował korony węgierskiej.

Pobożny król, zaczynając każde dzieło z Bogiem, zanim wyruszył na odsiecz, odwiedził wpierw w pobożnej pielgrzymce różne kościoły Najśw. Marji Panny, łaskami słynące: był w *Częstochowie*, w *Piekarach* na Śląsku, u Karmelitów w Krakowie na Piasku. Po zwycięstwie chocimskiem (11. listopada 1673 r.) ślubował był sprowadzić do Polski OO. Kapucynów; zostawszy królem sprowadził ich do Warszawy, teraz zaś przed wyjazdem, na ubłaganie łaski Bożej i błogosławieństwa dla oręża, położył (23. lipca) pierwszy kamień pod kościół dla **Chrystusa Zwycięzcy**, który dla Kapucynów tuż pod Warszawą zakładał.

Kto z Bogiem, to i Bóg z nim, mówi stare polskie przysłowie; sprawdziło się też teraz dosłownie. Błogosławieństwo Boże wspierało króla widocznie na każdym kroku, w całem przygotowaniu wyprawy. Od niepamiętnych czasów po raz pierwszy w Polsce wyprawa wojenna została ukończona tylko w 20 dni: pod bronią stanęło 18.000 doborowego rycerstwa koronnego (nie licząc *towarzyszów* i pachołków) i parę tysięcy piechoty; dział mniejszego kalibru zabrano 28. Doczekawszy się jeszcze święta Wniebowzięcia Najśw. Panny i odwiedziwszy raz jeszcze prawie wszystkie kościoły w Krakowie, bohaterski król siadł na koń (15. sierpnia) i w imię Boże wyruszył ku Wiedniowi.

Skoro się rozniosła wieść o jego wyjeździe, chrześcijaństwo odetchnęło, lud słowiański na Morawach i wówczas także jeszcze w Austrji dolnej « *dobry i poczciwy, jak nasz* », witał wojsko polskie i jego króla z uniesieniem; miasta, przez jakie przechodził, stawiały bramy tryumfalne, na których (jak n. p. w Ołomuńcu u OO. Jezuitów) widniał napis: *Salvatorem expectamus* (1).

Był też **Sobieski** istotnie mężem opatrznościowym, jak o tem każdy moment tej wiekopomnej wyprawy świadczy, i jedynym, który umiał i mógł wojsko chrześcijańskie, zbierające się stosownie do jego rozporządzenia koło Tuln nad Dunajem a złożone w wielkiej części z ochotników, pochodzących z najróżniejszych krajów, mówiących przeróżnemi gwarami i należących do rozmaitych sekt chrześcijańskich, natchnąć jednym duchem, skierować do jednego celu, napełnić ślepą ufnością ku

(1) Oczekujemy zbawcy.

sobie, jako wodzowi, i ożywić wiarą w odniesienie zwycięstwa.

Tyle co się tyczy prostych żołnierzy.

Poważne trudności groziły mu za to ze strony licznych, mniejszych i większych dowódców, furstów, kurfurstów, grafów, herzogów i t. d. niemieckich, wiodących tłumy swych « *versuchte Soldaten* » pod Wiedeń.

Elektor saski, **Jan Jerzy III** n. p., wyruszając z wojskiem pod Tuln, kazał swemu suwerenowi (cesarzowi **Leopoldowi I**) przez umyślnych posłów oświadczyć, że nie ma wprawdzie nic przeciw temu, aby król polski sprawował naczelne dowództwo, ale miał to czynić w taki sposób, ażeby on (kurfurst) był o wszystkich postanowieniach wpierw uwiadomiony, « *w bitwie zaś miał* (Sobieski) *używać tylko takich wyrazów, któreby w sobie nie mieściły żadnego bezwarunkowego rozkazu* » (1).

Zatargi wszelkiego rodzaju, krnąbrność, a w danym razie nawet otwarte nieposłuszeństwo, mogące łatwo całą odsiecz na szwank narazić, groziły dalej ze strony młodego i ambitnego elektora bawarskiego **Maksymiljana Emanuela**, ze strony księcia **Waldeck**, księcia **Karola** lotaryńskiego, byłego współzawodnika **Sobieskiego** do tronu polskiego itd.

Starcia i waśni pomiędzy tylu podkomendnymi a naczelnym wodzem w obozie chrześcijańskim przewidywał Ojciec św. **Inocenty XI** i dlatego, celem możliwego ich uchylenia, wysłał pod Wiedeń świątobliwego Kapucyna **O. Marka d'Aviano**; na pewno zaś spodziewał się ich ten, który je sam zwykle wszczynał — sztywny i niedołężny **Leopold I**.

Otóż i pod tym względem okazało się, że błogosławieństwo Boże towarzyszyło królowi Janowi na każdym kroku, że był wodzem wybranym przez Opatrzność Boską i nie daremnie oddał był siebie, swe wojsko i los całej wyprawy pod opiekę Najśw. Marji Panny. Był on rzeczywiście owym *mężem posłanym od Boga, któremu było imię Jan*, za jakiego całe chrześcijaństwo niebawem miało go ogłosić; jedynym, który butnych niemieckich panoszów od pierwszej chwili zetknięcia się z nimi umiał sobie ująć, przywiązać do swojej osoby i poprowadzić, dokąd zechciał. Górował nad nimi głęboką znajomością sztuki wojennej oraz licznemi zwycięstwami, które już był nad Turkami odniósł: więcej jednak czarował ich (do czego nigdy nie byli przyzwyczajeni ze strony swego suwerena) prostym, szlachetnym, prawdziwie rycerskim sposobem obejścia.

To też elektor saski, który tylko pod pewnymi warunkami przyobiecał był pomoc swoją i tylko po długiem ociąganiu się i z wielką niechęcią na radę wojenną w głównej kwaterze Sobieskiego (3. września, w *Städtelsdorf*) się stawił, oddał się, skoro tylko króla Jana bliżej poznał, od razu całem sercem jemu na rozkazy. Pierzchły wszelkie zastrzeżenia, które był tak długo pieścił i które pierwotnie Sobieskiemu zamierzał narzucić: w czasie bitwy pełnił rozkazy króla polskiego jak prosty podkomendny i do końca życia głęboką żywił cześć dla swego byłego generalissimusa z pod Wiednia (1).

Nie mniejsze wrażenie sprawił *mąż o twarzy Cezara* na młodym elektorze bawarskim, **Maksymiljane Emanuelu**, który się od pierwszego spotkania przywiązał doń jak syn, a gdy w jedenaście lat później owdowiał po pierwszej żonie, córce Leopolda I, zamiast szukać koligacji gdzieindziej, zaślubił córę dawnego swego wodza, szlachetną **Teresę Kunegundę Sobieską**.

Jak zaś dla niego był usposobiony **Lotaryńczyk** i reszta wodzów niemieckich, o tem świadczą ówczesne djarjusze, świadczą również listy samego króla Jana. Wszyscy bez wyjątku ulegli urokowi, który bił z majestatycznej jego postaci, ulegli czarowi jego obejścia. Próżne więc były obawy Ojca św. i cesarza Leopolda: jedność panowała w obozie chrześcijańskim. « *Słuchali mnie tak, jak nigdy nasi* », pisał **Sobieski** o Niemcach do królowej Marji Kazimiery. Z zapałem oświadczali mu,

(1) Cfr. Fr. Raumer, *Kurfürst Johann Georg III bei dem Entsatze von Wien im Jahre 1683*. Histor. Taschenbuch, IX. Jahrg., S. 260.

(1) Zob. *Tagebuch* koniuszego *Bose*, nieodstępnego towarzysza i zaufanego powiernika elektora Jana Jerzego III.

że pod jego komendą pójdą choćby na koniec świata (1).

Odbywszy kilka narad wojennych z jenerałami cesarskimi celem dokładnego poznania okolicy pomiędzy Tuln a Wiedniem, w której się spodziewał stanowczej rozprawy z Turkami, i przeprawiwszy na prawy brzeg Dunaju najprzód polskie zastępy a potem Niemców, objął **Sobieski** w dniu 8. września naczelne dowództwo nad całem wojskiem chrześcijańskiem (2). Dzień ten — święto Narodzenia Najśw. Panny — w którym ujął za buławę, bynajmniej nie był przypadkowym, jak nim nie był dzień, w którym wyruszył na odsiecz. Głęboko pobożny i nie na własne siły, lecz jedynie na pomoc z nieba liczący, rycerski król, jak był całą wyprawę poruczył Opiece Przeczystej Dziewicy, tak też wszelkie ważniejsze tejże momenta rozpoczynał w dni, chwale Jej i czci poświęcone.

Zaczem zaopatrzywszy wojsko na kilka dni w żywność, o ile jej starczyło (konie musiano żywić liśćmi), sam poprzestając na suchym chlebie i noclegi odbywając pod gołem niebem, ustawiwszy hufce polskie na prawem skrzydle — od czasów Spartjatów we wszystkich wojskach jako honorowem uważanem, ale tutaj dlatego właśnie, że najgorsze przeprawy i same bezdroża przed sobą mającem — gdy już zewsząd spędzeni wieśniacy wyrąbali jakie takie przejścia w lasach, pokrywających stoki ostatnich odnóg Alp wschodnich, dobiegających do Dunaju i spiętrzających się pod Wiedniem pod nazwą *Kahlenbergu*, u stóp którego wojsko stanęło, król Jan wydał rozkaz ruszenia w pochód, na przełaj gór, w kierunku dogorywającej rakuskiej stolicy. Siły wojska sprzymierzeńców, niosącego jej pomoc, wynosiły przeszło 70.000 wojowników.



Okna kamienne w kościele salezjańskim w Oświęcimiu, dla których poszukuje się fundatorów.

Rozkaz naczelnego wodza wykonano w lot. Zawarczały bębny, zabrzękły pałasze, zadudniła ziemia pod miarowym krokiem niemieckiej piechoty, jeżył się las kopji, szeleściły skrzydła husarzy polskich; w szeregach Niemców rozległy się gromkie okrzyki: *Es lebe der*

---

(1) „Und der Kurfürst (dodaje Raumer we wyż przytoczonej rozprawie o Janie Jerzym III, wspominając o tym entuzjazmie Niemców dla osoby Sobieskiego) war offenen und geraden Charakters und redete nicht anders als er dachte." Elektor Jan Jerzy opuścił wprawdzie wraz z wojskiem, nie pożegnawszy się z nikim, towarzyszów broni w trzy dni po bitwie pod Wiedniem „wegen zugestoßener Unpäßlichkeit," ale stało się to jedynie z przyczyny Leopolda I.

(2) W tem miejscu niech nam będzie wolno dodać jeszcze następującą uwagę. — Ktokolwiek miał sposobność zapoznać się bliżej z rozmaitymi djarjuszami, *Tage* — i *Jahrbuchami* z czasu odsieczy wiedeńskiej, w tym chyba tylko politowanie wzbudzić mogą kłamliwe wysiłki historyków niemieckich (Kloppa, Rönnera, Camesiny, a dawniej już Lochnera i innych), którzy z bohaterskich skroni rycerskiego króla pragną teraz zedrzeć krwawo i tylko własną zasługą zdobyte wawrzyny, ażeby nimi przyozdobić ulubieńców swojego wyboru: Lotaryńczyka lub którego z dwóch wyżej wymienionych kurfürstów, jego zaś zepchnąć w tłum duków niemieckich, każąc mu pod Wiedniem co najwyżej odgrywać rolę to Gotfryda z Bouillon, to Agamemnona — w rodzaju jakiegoś *primus inter pares*.

Marne wysiłki. Kulawe porównania. Sobieski pod *Wiedniem* nie był ani Gotfrydem, ani Agamemnonem, ale jeżeli już mamy sięgać aż do klasycznych wzorów, ażeby określić jego rolę wobec sprzymierzonych książąt, tudzież rodzaj dowództwa i stosunek do podkomendnych, to był on στρατηγὸς αὐτοκράτωρ (naczelny i samodzielny wódz), jakim r. 338 przed Chr. ogłosili Grecy na zjeździe w *Koryncie* króla Filipa macedońskiego na wojnę przeciw Persom i jakim właśnie był syn jego Aleksander, wiodący zaciągi greckie przeciw Azjatom. Całą kampanję przeciw Turkom prowadził Sobieski samodzielnie, samodzielnie kierował ruchami wojsk, rozporządzał podkomendnymi, własnoręcznie skreślił *ordre de bataille*.

König von Polen! rycerstwo polskie zanuciło stary hymn bojowy, odwieczny **paean** polski:

Boga Rodzico, Dziewico,
Bogiem sławiona Maryo!

Śpiewało go pono po raz ostatni.

. . . .

Z tamtej strony Kahlenbergu tymczasem przypuszczali Turcy począwszy od 18. lipca szturm po szturmie do wałów Wiednia. Z początku były one zajadłe a pociski ottomańskich dział tak celne, że już 7. sierpnia umilkły rakuskie armaty na okopach. Niezadługo mury miasta coraz więcej zaczęły się rysować a wyłomy w nich zwiększać. Dzielni mieszkańcy naprawiali jednakże w nocy szkody zrządzone we dnie, a choć ich i tak już szczupłe szeregi dziesiątkowały kule tureckie i wybuchłe choroby, choć załoga miasta zmniejszyła się już do połowy a niedostatek żywności z dniem każdym wzrastał, to jednak ufni w przyrzeczoną pomoc, stawiali pohańcom rozpaczliwy opór. Wszelkie ich wysiłki musiałyby jednak spełznąć na niczem i bez żadnego wątpienia musieliby uledz przemocy, gdyby turecki wódz chciał był zrobić należyty użytek z ogromu sił, któremi rozporządzał.

Kara-Mustafa wszakże, w którym się obudziła niepohamowana żądza zagarnięcia wyłącznie dla siebie niezmiernych bogactw, zewsząd do miasta zwiezionych, postanowił zmusić jego obrońców głodem i wyczerpaniem sił do kapitulacji i dlatego nie spieszył się bynajmniej ze szturmem stanowczym. Otoczywszy się niesłychanym przepychem i tem wszystkiem, co tylko wyuzdany zbytek wymyślić może, w namiocie, który ze szczytów Kahlenbergu wydawał się *jak Warszawa lub Lwów w murach*, po kilku tygodniach powolnego oblegania zapadł w gnuśność i odrętwienie iście Azjaty. Pod murami Wiednia znalazł swoją Kapuę. Nie był to już ów dawny, straszny **Kara-Mustafa** z czasów oblegania Kandji lub wypraw na Ukrainę i śmiały wódz jeszcze z wiosny tego roku, lecz zwykły turecki, niedołężny, zbytkami wycieńczony basza. Jak gdyby Kahlenberg był nieprzebytym murem, odgradzającym go od reszty świata, obojętnie przyjmował wieści o tem, co się z tamtej jego strony działo, lekceważył sobie ściąganie wojska chrześcijańskiego i do ostatniej chwili nie wierzył w przybycie **Sobieskiego** na odsiecz. Głuchy na przedstawienia podkomendnych nie uczynił nic, aby utrudnić a nawet wprost uniemożliwić chrześcijanom przeprawę przez Dunaj, zaniechał obsadzić Kahlenberg i zamienić go na niezdobytą twierdzę. Zapatrzony w miasto, które oblegał a które za swoją przyszłą stolicę uważał, przyspieszał jedynie rycie podkopów i zadowalał się tem, iż jego działa czyniły coraz większe szczerby w murach.

Jakoż w pierwszych dniach września doprowadził roboty oblężnicze tak daleko, że Wiedeń dłużej nad dni kilka opierać się już nie mógł. Dowódca jego Stahremberg, wypuszczając co chwila rakiety z wieży św. Szczepana na znak ostatecznego niebezpieczeństwa, zwątpił już o wybawieniu, a mieszkańcy przed wystawionym po wszystkich kościołach Najśw. Sakramentem gotowali się na śmierć niechybną.

Wtem na szczytach Kahlenbergu (11. września) zajaśniały ognie zwiastujące odsiecz: nadszedł nareszcie oczekiwany zbawca, Sobieski przybył na ocalenie miasta i chrześcijaństwa.

Dawno przeczuwana, przez długi czas przygotowywana, nadeszła wreszcie chwila stanowczej rozprawy między chrześcijaństwem a islamem. Pod murami rakuskiej stolicy miała się teraz rozegrać walka na śmierć i życie pomiędzy cywilizacją zachodnią a barbarzyństwem, pomiędzy religją ducha a religją ciała, pomiędzy Azją a Europą. Dwa wojska, przedstawiciele jednej i drugiej, stanęły naprzeciw siebie, ażeby ze sobą zwieść śmiertelny pojedynek i pokonywując przeciwnika, pokonać również to, co tenże niósł wypisane na swoim sztandarze. Chwila była ważną, doniosłość jej czuło całe chrześcijaństwo i z bijącem sercem, z zapartym tchem czekało jej rozwiązania. Od tej jednej bitwy zawisł, takie było ogólne przekonanie — dalszy chrześcijaństwa wolny byt, lub sroga pod jarzmem muzułmańskiem niewola.

W obozie Sobieskiego wielki ten dzień (była to niedziela 12. września) rozpoczął się z Bogiem.

Na dwie godziny przed wschodem słońca król **Jan** kazał z bębnów ustawić ołtarz; wojsko wysłuchało Mszy św. odprawionej przez Dominikanina O. Skopowskiego. On sam udał się z wodzami i szesnastoletnim synem *Jakóbem* do kaplicy na Leopoldsberg i wierny zwyczajom królów polskich, którzy ile razy w obozie przebywali, sami do Mszy świętej służyli, ukląkł pobożnie na stopniach ołtarza i służył do Mszy odprawianej przez wysłańca papieskiego, świątobliwego Kapucyna, **O. Marka d'Aviano.**

Był to już ostatni król polski, który w obozie służył do Mszy św.

Po podniesieniu leżał krzyżem, następnie wspólnie z wodzami katolickimi przyjął komunję św. Przy końcu tej pamiętnej Mszy, **O. Marek** obróciwszy się na *Ite missa est*, miasto wymówić te słowa, zawołał natchniony: **vinces Joannes!** (zwyciężysz Janie!). Po skończonem nabożeństwie, na pamiątkę tego dnia, pasował Sobieski królewicza **Jakóba** na rycerza, otrzymał razem z całem wojskiem błogosławieństwo papieskie, udzielone przez **O. Marka**, poczem dosiadł konia i dał znak do bitwy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROZMAITOŚCI

Do chłopca, który nie usiedzi na miejscu.

Mój drogi przyjacielu! Zdarza się nieraz, że nie masz co robić w domu, bo jesteś młody, rodzice nie mają pracy dla ciebie. A jednak wiem, że lekka praca nie zabiłaby cię. Czyż nie prawda, że gdy w domu powinno być spokojnie, gdy tatko zajęty w swym pokoiku poważną pracą lub po nabożeństwie niedzielnem czytaniem, a mamcia uprzątaniem domu, ty stajesz się wtedy nieznośny, wyprawiasz psoty, stroisz figle, rozbijasz się po kątach z braciszkami i w tej lekkomyślności i nieuwadze stłuczesz nieraz garnek, wybijesz szybę lub inną wyrządzisz szkodę? Wtenczas mamcia grozi, a ty dalej broisz. Czy u was niema rózgi lub bata?

— Co!? rózga!? bat!? Nie znam tego. Ja robię, co mi się podoba.

— Tak?

— Mamcia mi nigdy nic nie każe robić...

— A dlaczego?

— Bo ja to taki. Mamcia mówi: ,,Maciuś, chodźno! — A ja zaraz: ,,.....ę..... ęęę..... nie chcę!'' — ,,Pójdziesz tam!'' — ,,Nie pójdę.'' — ,,Zrobisz to a to.'' — ,,Nie chce mi się, nie zrobię''

— Acha! wiem już dlaczego mamcia woli raczej sama wszystko robić, niż tobie coś zlecić. Rozumiem, skąd masz czas na psoty i figle. Drogi przyjacielu, radzę ci zawczasu, strzeż się chorób, które się ciebie czepiają: unikaj nieposłuszeństwa i próżniactwa. Weź sobie często do ręki jaką dobrą książkę, n. p. ten oto zeszyt *Wiadomości Salezjańskich* i przeczytaj z uwagą to, co tu piszę. Przeczytaj głośno mamci i braciszkom a zasłużysz na pochwałę, że umiesz być grzeczny. A nie tylko sam przeczytaj, ale i kolegom daj do czytania.

Małgorzata, matka ks. Jana Bosko, kochała swych synów miłością prawdziwie chrześcijańską. Miała kilka dzieci, które po przedwczesnym zgonie ojca zostały pod jej wyłączną opieką. Lubo była usposobienia bardzo łagodnego, w razie potrzeby napominała i karciła swych synów, umiała być surowa i stateczna i nie ustępowała przed uporem. Jako znak swej władzy umieściła w kącie izby rózgę, lecz nigdy jej nie użyła, bo władała sercami dziatwy i zmuszała ją do posłuszeństwa różnymi wybiegami własnego pomysłu.

Jednego razu czteroletni Jaś powrócił ze starszym braciszkiem Józiem z przechadzki. Obaj mieli wielkie pragnienie. Mama biegnie do studni po wodę i podaje pić najpierw Józiowi. Jaś się na to chmurzy a kiedy mama zbliża się do niego z wodą, odpycha ze złością garnuszek. Mama nic na to nie mówi, lecz odstawia dzbanek z wodą. Jaś stoi chwilkę zamyślony, a potem odzywa się nieśmiało:

— Mamo!

— Czego chcesz?

— Nie dacie mi wody?

— Myślałam, że ci się pić nie chce.

— Mamusiu, darujcie!

— To mi się podoba! — Poszła po wodę i podała mu ją z uśmiechem na ustach.

Innym razem jeden z chłopców pozwolił sobie na wybryk Małgorzata przywołała go do siebie. Chłopiec przyszedł.

— Moje dziecko, widzisz tę rózgę?

— Widzę, mamo, odpowiedział chłopiec, cofając się nieco wtył.

— Podaj mi ją!

— Co chcecie z nią zrobić?

— Podaj a zobaczysz.

— Zapewne chcecie mnie bić.

— Jużci, kiedy na to zasługujesz.

— Mamusiu, ja tego więcej nie uczynię! — I na drugi raz był grzeczniejszy.

Józio nieraz się złościł, opierał i rzucał! Wtedy mama brała go za rękę i trzymała silnie, choć się szarpał i płakał.

— Daremnie, nie poradzisz mi, mawiała. Nie puszczę cię, musisz mi uledz. Ty musisz ustąpić, nie ja.

A gdy Józio się upierał, perswadowała dalej:

— Czy nie widzisz, żem mocniejsza od ciebie? Bądź pewien, że mnie nie pokonasz, a pamiętaj, że jak będziesz dalej złośnikiem, to P. Bóg cię kiedyś w swoje ręce pochwyci, zaprowadzi cię na Swój sąd i ukarze. A wtedy jakoż mu się wymkniesz?

Józio przekonawszy się o bezskuteczności swych gniewów, uspokajał się, uśmiechał do matki, a wtedy i na ustach matki zaigrał serdeczny uśmiech i zgoda była przywrócona. Jak dobrze działa na serce dziecka uśmiech matki!

Takiego to sposobu używała Małgorzata, kiedy wypadało karcić dzieci. Chodziło jej głównie o to, aby naganą nie wywoływać złości, braku zaufania i niechęci, aby posłuszeństwo dziatwy oprzeć na miłości i pragnieniu podobania się Bogu. Była też matką kochaną i szczęśliwą.

Biedne te dzieci, które nie znają posłuszeństwa, ani nagany, ani kary za wybryki i występki. Giną z ręki swych matek w słodkim uścisku pieszczoty i pobłażania.

Mały przyjacielu! Bądź mamci wdzięczny za naganę i zasłużoną karę!

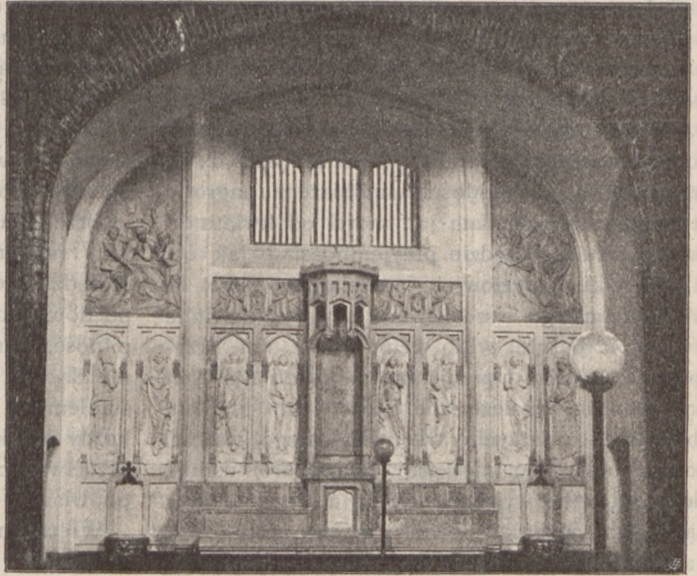
(Na podstawie *szarej Księgi* Makarego *Nowiny* napisał *Przyjacielski*).



Kącik Pedagoga

Z wychowania woli.

KAŻDĄ władzę duchową dziecka rozwijamy przez często powtarzane ćwiczenia z zakresu jej funkcji. Tak ćwiczymy pamięć przez memorowanie wierszy, przez naukę



Grupa w jednym z bocznych ołtarzy w kościele salezjańskim w Oświęcimiu, wykonana w tamtejszym zakładzie.

historji i gieografji; tak rozwijamy rozum matematyką i innymi ścisłymi naukami. Zupełnie mylnie porzucamy tę metodę, gdy chodzi o kształcenie woli. Właściwą cechą woli jest jej niezależność od innych władz i bezwarunkowe nad nimi panowanie, a więc wolę kształcić się powinno przez takie ćwiczenia, w których ona to panowanie wykonywa, a wykonywa zupełnie niezależnie.

Błędna jest zatem metoda tych matek i wychowawców, którzy każde wypełnienie obowiązku wynagradzają zewnętrzną przyjemnością, każde zaniedbanie karzą jej odjęciem. Póki dziecko małe, to każdy rozkaz, każda prośba jest wsparta obietnicą cukierków, owoców, zabawki; gdy dorasta, to cukierki, owoce, zabawki ustępują miejsca wycieczkom, podróżom, teatrom, lecz zasada ta sama: obowiązek dla

nagrody. Nie potrzebuję wykazywać, jak ujemnie wpływa ten sposób wychowania na charakter wychowanka. Przyzwyczajony do nagrody po każdem spełnieniu obowiązku, uważa ją za ostateczny cel i powód wszystkich swych prac i wysiłków. Szuka jej wszędzie i we wszystkiem, bez niej każda praca staje się dla niego daremna i bezcelowa. I jakże może być inaczej? Przecież nigdy nie słyszał, że powinien wypełniać obowiązek dla celów wyższych, bez względu na osobisty pożytek: nie wie, że ma się poczuwać do powinności, choćby przykrą była, choćby się serce krajało a dusza krwawymi łzami zapłakać miała. Nigdy mu nie dopomagano do zdobycia w walce ze zmysłowością owego hartu, który woli zapewnia dominujące stanowisko nad popędami zepsutej natury. Więc też nie dziw, że człowiek w młodości nadmiarem nagrody zepsuty, całe życie lata jak motyl od kwiatu do kwiatu, szuka wszędzie przyjemności i jak ów mistrzowski nadczłowiek, przekonany jest, że on celem całego wszechświata a wszystkie inne stworzenia o tyle tylko ceni, o ile mu przysparzają uciechy i przyjemności. Jeżeli zaś tych przyjemności znaleźć nie może, lub już mu zbrzydły, to i życie traci dla niego wszelki powab, staje się męczarnią, od której usiłuje się gwałtownie wyzwolić. Wola u niego za słaba na to, aby wytknąć nowe cele jego życiu.

Aby do takiego zwichnięcia woli nie dopuścić, trzeba od najmłodszych lat żądać od dziecka wyrzeczenia się jakiej przyjemności i nie nagradzać go za często, aby mu nie podsuwać myśli, że ma prawo do nagrody. Tak pewna matka, której spartańską duszę często podziwiałem, stawiała nieraz na stole koszyczek owoców i mawiała do swej dziatwy: ,,Możecie brać, jeśli chcecię. Ale kto się wcale tych owoców nie dotknie, ten się okaże panem swych żądz i będzie mi bardzo miły. Jak to brzydko być niewolnikiem swego smaku!" Jej słowa wywierały skutek bajeczny. Nieraz całymi dniami koszyczek stał nienaruszony. Inną razą, gdy słonko wiosenne wywabiało z domu na przechadzkę a dzieci o nią prosiły, mówiła im, jakby to pięknie było, gdyby się tą razą tej przyjemności wyrzekły. I tak w wielu innych wypadkach. Gdy zaś poczęły uczęszczać do szkół, dobierała słów aby je przekonać, że najprostszą drogą do szczęścia jest sumienne wypełnienie obowiązku. Nie szczędziła też od czasu do czasu nagród, lecz po dowodach trwałego natężenia woli, za stałą pilność, a przytem wymagała, aby do nich z góry nie dążyły. — Pięknie się rozwinęły te dziatki: sumienność i panowanie nad sobą cechowały każdy ich krok, a w dalszym życiu i największe przeciwności nie mogły ich sprowadzić z drogi obowiązku.

Więcej nam takich matek i takich wychowawców.

ŻYWOT
X. biskupa Alojzego Lasagni
Misjonarza Salezjańskiego.

(Ciąg dalszy).

Ks. biskup pozostał jeszcze w Assumption do 6. czerwca, aby na życzenie objawione z różnych stron udzielać Sakramentu Bierzmowania. W tych ostatnich dniach był on tak przeciążony zajęciami, że obawiano się o jego zdrowie, tem wiecej że złe powietrze krajów, które w podróży swej przebył, wywołało mu bolesne cierpienia reumatyczne. Można powiedzieć, że nie było w stolicy osoby, nie było stowarzyszenia czy instytucji, któreby nie usłyszały od biskupa — apostoła jakiego słowa przyjemnego, jakiej zachęty lub pociechy. Ileż dobrego zdziałał w tym krótkim czasie! A jednak jego wielkie serce nie było zaspokojone, bo znalazł się jeden człowiek, który się opierał łasce bożej i nie chciał przyjąć Jego sługi, choć mu już nie wiele dni życia zostawało na tej ziemi.

Ambasador Urugwaju przy rzeczypospolitej pa-

raguajskiej, J. E. Ryszard Garcia, był w tej chwili bardzo ciężko chory na raka w gardle, a niestety nie myślał wcale o swej duszy. Nie namyślając się, biskup pobiegł do łoża chorego w nadziei, że będzie mógł go przygotować na sąd boski. Być może, że p. Garcia był masonem i nie miał odwagi zerwać więzów, które go łączyły z sektą, dosyć, że pierwszy krok pozostał bez skutku. Biskup uciekł się wtedy do modlitwy i rozpoczął nowennę do M. B. Wspomożycielki, wzywając wszystkie pobożne dusze do połączenia się z jego intencją. Kilka dni później powrócił do chorego i starając się wszelkiemi siłami obudzić w jego sercu jakieś uczucie wiary i ufności do M. Bos iej, wskórał tyle, że tenże przyjął poświęcony medalik, który kochająca żona zawiesiła mu na szyi. Jednakże gdy próbował nakłonić go do przyjęcia ostatnich Sakramentów, raz jeszcze spotkał się z odmową, ku wielkiej uciesze złych przyjaciół, czuwających pilnie przy łożu. Cierpiał biskup, widząc że choroba robi szybkie postępy, że śmierć się zbliża, a chory pozostaje dalej obojętny na wielką sprawę swego zbawienia! Postanowił po raz trzeci przypuścić szturm: chory był już prawie konający; rozczulony serdecznemi, ojcowskiemi słowami kapłana, uściskał go i ucałował, ale gdy biskup, korzystając z tej chwili rozczulenia, wspomniał mu o św. Sakramencie, odpowiedział ponownie milczeniem i odepchnął łaskę Bożą. Nie zważając ani na swoje znużenie, ani na trzykrotną odmowę, biskup powrócił o 9 ½ wieczorem do umierającego. Na szczęście chory pasując się już ze śmiercią, zachował jeszcze przytomność. Zrozumiał nakoniec, że idzie na sąd boski; tknięty łaską, ośmielony przez biskupa, przygotował się do przyjęcia rozgrzeszenia i Ostatniego namaszczenia. Biskup skłonił go do złożenia Bogu ofiary z swego życia, podsuwał mu pobożne myśli, odczytał mu ostatnie modlitwy kościelne i nie odstąpił go, dopóki nie oddał ostatniego tchnienia. Była wtedy godzina pierwsza po północy.

Nad łóżkiem na ścianie wisiał obrazek M. Boskiej z Góry Karmelu. Gdy miał lat 12, p. Garcia przyrzekł był swej matce, że ten obrazek zawsze zachowa i dotrzymał słowa. Ta to potężna Orędowniczka sprowadziła biskupa do boku umierającego i uprosiła mu boskie przebaczenie.

Gdy się to działo, Salezjanie przeznaczeni do misji w Matto Grosso przybyli na parowcu *Diamantino;* nadeszła więc chwila, gdy ks. Lasagna miał opuścić Paraguaj i udać się wraz z nimi do Cujabà. Scena rozstania była dowodem wielkiej miłości, jaką u wszystkich był pozyskał: najzacniejsze osoby w Assumption chciały mu towarzyszyć aż na statek, dziękując za wszystko dobre, jakie tu zdziałał i błagając go usilnie, by w powrocie zatrzymał się znowu w ich mieście.

W Paraguaju i we wszystkich krajach, jakie teraz przebywał, wszystko przypominało ks. Lasagni synów św. Ignacego. ,, Tutaj to, — mówił — Jezuici dokazali w dawnych wiekach tych cudów gorliwości i wiedzy, które dziś i zawsze wzbudzać będą podziw świata. Przy wstępie do tych lasów widać jeszcze ruiny ich sławnych kollegiów, ich pięknych kościołów i wspaniałych obserwatorjów. A dzisiaj daremnie łowimy uchem echa hymnów pobożnych, które stąd ulatywały ku niebu z ust i z serc tysięcy dziatwy i młodzieży. Darmo szukamy tych osad, tych pól uprawianych przez tysiące Indjan, których gorliwe ich starania pozyskały dla wiary i cywilizacji. Wszystko jest spustoszone, wszystko zniszczone...'' Szlachetny misjonarz nie byłby się zatapiał w tych gorzkich myślach, gdyby był zauważył, ile dobrego sam zdziałał przez krótki czas swego pobytu w Paraguaju. Dwadzieścia dni wystarczyło mu na to, aby oświecić tylu nieumiejętnych, utwierdzić w wierze tylu wątpiących, rozniecić w sercach miłość Chrystusową, przyciągnąć ze wszech stron wiernych do świątyni, w której brzmiały naprawdę echa tych starych pieśni. Ale wiemy, iż cechą prawdziwych pracowników Bożych jest, że nie oglądają się poza siebie na pracę już dokonaną, lecz szukają tej, która pozostaje do spełnienia.

(Ciąg da'szy nastąpi).



ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.

Najprzewielebniejszy Ks. Biskup Teofil Tomasz Kuliński, — Kielce, *Królestwo Polskie.*

Adamczyk Marjanna, — Huta, *Wielkie Ks. Poznańskie.*

Babik Franciszek, — Ks. Nowawieś, *Górny Śląsk.*

Barnat Wawrzyniec, — Bursztyn, *Galicja.*

Biedronka Alojzy, — Sośnicowice, *Górny Śląsk.*

Blacha Julja, — Arcadia, *Ameryka Półn.*

Borowiecka Marja, — Uście solne, *Galicja.*
Borys X. Józef, proboszcz, — Siedlec, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Borzestowski Jan, — Kościerzyna, *Prusy Zachodnie.*
Bujak Kazimierz, nauczyciel, — Rzezawa, *Galicja.*
Chorzemski X. Filip, proboszcz, — Touste, *Galicja.*
Cyran Anna, — Kalina, *Górny Śląsk.*
Cyran Katarzyna, — Kalina, *Górny Śląsk.*
Czech Franciszek, — Nowa Góra, *Galicja.*
Czech Józef, — Zawodzie, *Górny Śląsk.*
Drabik Wojciech, — Tarnawa, *Galicja.*
Dziatkowiak Wojciech, — Kuszkowo, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Ficek Agata, — Chorzów, *Górny Śląsk.*
Frąckowiak Elżbieta, — Wróżwy, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Gabrylewicz Pelagja, — Środa, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Gawliczek Wojciech, — Blaszkowice, *Górny Śląsk.*
Głażewski Antoni, — Paryż, *Francja.*
Głowaczewski Leon, — Krążno, *Prusy Zachodnie.*
Głuszewski Leon, — Krążno, *Prusy Zachodnie.*
Gorajczyk Anna, — Gorzeń dolny, *Galicja.*
Górniak Jan, — Lgota, *Galicja.*
Grysko Józefa, — Królewskahuta, *Górny Śląsk.*
Gutzmer X. Marcin, proboszcz, — Wałcz, *Prusy Zachodnie.*
Hachuła Józef, — Jeleń, *Galicja.*
Hącia Piotr, — Ks. Nowawieś, *Górny Śląsk.*
Imiela Ignacy, — Nowa Kopanina, *Górny Śląsk.*
Jaruzelska Helena, — Babice, *Galicja.*
Kabatek Paweł, — Zakrzewo, *Prusy Zachodnie.*
Kadubiec Stanisław, — Brzezowice, *Górny Śląsk.*
Kapcia Wojciech, — Kamienice, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Klainert Antoni, — Murowana Goślina, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Kłosiak Michalina, — *Poznań.*
Konopiński Stanisław, — Koźmin, *W. Ks. Poznańskie.*
Konował Marjanna, — Bylino, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Kowarsz Marta, — Bogucice, *Górny Śląsk.*
Krajewska Marja, — Kraków, *Galicja.*
Kurczewska Antonina, — Jaraczewo, *W. Ks. Poznańskie.*
Kwiatkowska Agata, — Grodziczno, *Prusy Zachodnie.*
Majchrzyk Aleksander, — Chorzów, *Górny Śląsk.*
Malczewski Józef. — Borek, *W. Ks. Poznańskie.*
Miczek Franciszek, — Cielnice, *Górny Śląsk.*
Miczek Maciej, — Cielnice, *Górny Śląsk.*
Mielech Jan, nauczyciel, — Stany, *Galicja.*
Mikołajczak Mateusz, — Kołaczkowice, *W. Ks. Poznańskie.*
Müller Antoni, — Zawodzie, *Górny Śląsk.*
Neumann Franciszka, — Świecie, *Prusy Zachodnie.*
Olejarczyk Franciszka, — Chorzów, *Górny Śląsk.*
Patalong Jan, — Krasów, *Górny Śląsk.*
Piętak Jedrzej, — Wielowieś, *Górny Śląsk.*
Pietrzyk Jan, — Susiec, *Górny Śląsk.*
Pochmarski Rudolf, nauczyciel, — Mrzygłód, *Galicja.*
Poeplau X. Józef, proboszcz, — Popówko, *Prusy Zachodnie.*
Potempa Piotr, — Sucholona, *Górny Śląsk.*
Pyrkacz Franciszek i Cecylja, — Chorzów, *Górny Śląsk.*
Radwan Józef, — Jachówka, *Galicja.*
Remlein Wawrzyniec, — *Poznań.*
Romaniuk Paulina, — Wisznice, *Królestwo Polskie.*
Ryniak X. Wincenty, — Nowotaniec, *Galicja.*
Schifferdecker X. Leopold, — Mac Adoo, *Ameryka Półn.*
Silecki Bronisław, — Mur. Goślina, *W. Ks. Poznańskie*
Skarłat Antoni, — Lgota, *Galicja.*
Spyra Piotr, — Rozbark, *Górny Śląsk.*
Stacha Katarzyna, — Kostuchna, *Górny Śląsk.*
Stoczek Szymon, — Ujazdowo, *W. Ks. Poznańskie.*
Sus Juljanna, — Imielnica, *Górny Śląsk.*
Szczepanek Wojciech i Jadwiga, — Biadki, *W. Ks. Paznańskie.*
Turkowski X. Piotr, proboszcz, — Bukowiec, *W. Ks. Poznańskie.*
Witkowski Brunon, — Pniewy, *W. Ks. Poznańskie.*
Wojtynek Rozalja, — Zawodzie, *Górny Śląsk.*
Zając Józef, — Brzezinka, *Górny Śląsk.*
Zapart Kasper, — Siemiechów, *Galicja.*
Zdechlik Agnieszka, — Lipiny, *Górny Śląsk.*
Zięcina Szymon, — Jamna, *Galicja.*
Żołądek Jan, — Chorzów, *Górny Śląsk.*

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków! Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.

Drukarnia salezjańska. (B. S.) — Turyn, 1907.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. Monauni. (Trento-Austria).